

POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCYZYŃNIE

FIGHTING POLAND

POLISH WEEKLY

PRICE SIXPENCE
(in U.S.A. and Canada 5c.)

Wychodzi co tydzień

Dnia 5-12 kwietnia 1947 r

Rok IX. Nr. 13-14

ODWAGA NADZIEI

ŚWIĘTO, z którym od wieków chrześcijańska ludzkość zwykła wiązać nadzieje zwycięstwa miłości nad nienawiścią, ducha nad prze-mocą, dobra nad złem — przypada w tym roku w chwili, gdy przed narodem polskim po ciężkich doświadczeniach znów ukazało się światło lepszej przyszłości, bardzo jeszcze dalekie, lecz tym razem chyba nie zwodnicze. Mamy na myśli czynne zainteresowanie się Ameryki Europą.

Przyszło ono tuż po okresie potężnego wstrząsu, którym dla Kraju były wybory styczniowe. To, co dla nas na emigracji stanowiło wynik z góry przewidywany ze stuprocentową pewnością, dla społeczeństwa polskiego od tamtej strony żelaznej kurtyny od przeszło półtora roku było przedmiotem ostatniej niemal nadziei.

W gorzkim rozczarowaniu, które przeżywał Kraj po Powstaniu Warszawskim, gdy stało się rzeczą jasną, że upadek okupanta niemieckiego rozpoczyna nie okres wyglądanej wolności, lecz nowych cierpień i nowej walki w zmienionych formach — trzeba było znaleźć jakiś punkt oparcia dla myśli i uczuć, jakąś drogę wyjścia z zasadzki, drogę, chroniącą przed ostateczną rozpaczą. Tą ostatnią nadzieją — brzmi to dla nas dzisiaj z patosem tragicznej śmieszności — stały się dla wielu jawna walka polityczna i własne wybory.

Poparcie, którego społeczeństwo nie szczędziło Polskiemu Stronnictwu Ludowemu, nie stanowiło bynajmniej aprobaty programu tego stronnictwa, ani uznania dla osoby samego Mikołajczyka, jako niedawnego premiera rządu niepodległego. W oczach patriotycznej większości społeczeństwa Polskie Stronnictwo Ludowe było jedynym ugrupowaniem, którego plan polityczny wyzwał się zarówno bezradziei walki zbrojnej z nowym okupantem, jak i ślepej uległości względem nakazów Moskwy. Widziało w nim społeczeństwo ostatnią szansę kompromisu pomiędzy naszymi dążeniami niepodległościowymi, z których nie zamierzało zrezygnować, a imperialistycznymi interesami Rosji. Wierzyło, że w obecnej epoce dziejowej Moskwa będzie wolała uszanować wolę większości narodu polskiego i oprzeć swe wpływy na patriotycznych, lecz umiarkowanych ma-

WIELKANOC, WIELKA ROCZNICA CHRZEŚCIJAŃSTWA, JEST ROCZNICĄ ZARAZEM BOLESNĄ I RADOSNĄ: UPAMIĘTNIA ZMARTWYCHWSTANIE I TRIUMF CHRYSZTUSA, LECZ POPRZEDZONY MĘKĄ I UKRZYŻOWANIEM.

DLA NAS I NASZYCH BLISKICH — WCIAŻ OD NAS Z DALA, DLA CAŁEGO NARODU POLSKIEGO WCIAŻ JESZCZE TRWA — WIELKA SOBOTA. NIE JEST WIĘC DZISIAJ NA CZASIE ŻYCZYĆ: WESOŁYCH ŚWIAT.

PÓKI NAM W POLSCE NIE NASTANIE RADOSNA NIEDZIELA — ŚLEMY WSZYSTKIM SERDECZNE ŻYCZENIA — NADZIEI I WIARY W ZMARTWYCHWSTANIE.

REDAKCJA „POLSKI WALCZĄCEJ”

sach, niż budować je na dyktaturze znikomej mniejszości, podstępnie i terrorze.

Było to złudzenie, tragicznie złudzenie, które musiało się skończyć w dniu 19 stycznia 1947 roku.

Utrata złudzeń jest zawsze ciężkim ciosem. Nic dziwnego, że społeczeństwo polskie w Kraju przeżywało w okresie wyborów głęboki kryzys. Nie każdy jednak kryzys jest oznaką zbliżającej się śmierci. Są kryzysy, po których przychodzi wyzdrowienie.

Mamy to przekonanie, że wstrząs wyborczy stanie się dla wartościowej części społeczeństwa polskiego, gdy przyjdzie ono nieco do siebie, potężną lekcją

trzeźwości politycznej i początkiem zjednoczenia wszystkich sił, które do niepodległości dążyły nie różnymi — w tym nie byłoby nieszczerścią — lecz rozbieżnymi drogami.

To wszystko bowiem, co dzieje się ostatnio w Polsce jest banalnym, niemal prostackim w swej oczywistości potwierdzeniem poglądu, że nie może być żadnego kompromisu pomiędzy naszymi dążeniami niepodległościowymi a imperializmem rosyjskim. W świecie, rządzone przez Rosję, nie ma miejsca dla niepodległości to jest dla wolności narodów, tak jak nie ma go dla demokracji to jest dla wolności jednostek. Moskwie można

ulec, lub z nią walczyć. Trzeciej drogi nie ma.

Dla nas, którzyśmy oddawna wybrali drogę walki z Rosją, jest aż nadto jasne, że dopóki Związku Sowieckiego nie odepchnie się z powrotem z nad Łaby w kierunku Dniepru, dopóty wszelka myśl o wolności Europy Środkowo-Wschodniej jest pustym dźwiękiem. Usadzenie się na stałe władzy rosyjskiej na tym obszarze byłoby końcem naszych marzeń na kilka przynajmniej pokoleń, jeśli nie na całe wieki. Jest to prawda brutalna może, ale jedyna. Złudzenia pozostawmy dzieciom, głupcom i dzikusom. Nie podlegamy nikomu w ten sposób

do wojny. Trzeba skończyć z przesądą, że w świecie dzisiejszym wszystkie konflikty muszą się kończyć nieuchronnie na polach walki atomowej. Obecna niewątpliwa słabość Rosji, maskowana tupelem jej dyplomacji i dywersyjną ruchliwością, pozwala na pokojowe spełnienie jej imperializmu, pod warunkiem, że wola położenia mu kresu będzie trwała i stanowcza, a myśl jasna i nie połowiczna. Dzisiaj nie jest jeszcze za późno. Jutro — pozostać może tylko nieunikniony kataklizm. W teraźniejszym bowiem układzie stosunków nie ma miejsca na rozwiązania polityczne. Nie ma miejsca na konflikty lokalne. Pokój światowy zagrożony jest w każdej chwili i w każdym miejscu. Mimo pozornej bowiem różnorodności zagadnień i piętającej się płataniny trudności — świat wchodzi w okres jedności politycznej.

Dla nas Polaków pierwszą nadzieją jest otrzeźwienie świata i wyprowadzenie go z lunatycznego gmachu złudzeń, pracowicie nigdy wzniesionego przez pp. Roosevelta i Churchilla przy pobłażliwym uśmiechu Stalina. Ostatnie wydarzenia zdają się wskazywać na to, że proces trzeźwienia w najpotężniejszym mocarstwie świata — Stanach Zjednoczonych — jest już bliski końca. I to jest owo światło, dalekie jeszcze lecz wyraźne, o którym wspomnieliśmy na początku.

Jakiż z tego płynie wniosek dla nas na emigracji? Zamyka się on w jednym zdaniu: trwać, trwać mimo wszystkie przeciwności. To słowo, które było dotychczas rzeczywistością tylko w Kraju, a na emigracji co najwyżej cierpiętniczym hasłem, rozgrzeszającym bardzo wygodne bytowanie, może zawitać do nas któregoś dnia naprawdę. Gdzieś w głębiach kopalni, czy w halach fabrycznych staniemy z nim niebawem oko w oko.

Od wygrania tego sam na sam zależy nasza wartość dla sprawy polskiej. Aby je wygrać — trzeba mieć nadzieję zwycięstwa. Trzeba mieć rzecz największą w nieszczęściach: cierpką, lecz niezłomną odwagę nadziei.

ANDRZEJ POMIAN-DOWMUNT

WIELKI PIĄTEK

Pić trzeba mi ten kielich,
niech wola Twa się stanie, —
(Kto wola: „Eli, Eli,
o Lamma Sabahtani“ — ?)

Myśl moja myśli Boga
zawsze się kornie nagnie, —
(Po jakich krąży drogach
krzyk wszystkich wieków:
„Pragnę“ — ?)

Poruczam Ojcu swemu,
co prawo Jego chciało, —
(Czy światu ginącemu
dość, że się „Wykonało“ — ?)

WIELKANOC

Świt pęka w pychę słońca
i dzwoni w dzwon śpiżowy, —
(Kto w wieków mrok postrąca
ten kamień z drzwi grobowych ?)

Dzień w blaskach się kryształy,
gra w struny złotej zorzy, —
(Kto kamień ten odwali
i grobu drzwi otworzy ?)

Nadzieja kwitnie w kwiatach,
dzień w radość się poszerza, —
(Bóg wyrzekł swe: „Efata!“
Bóg rozwarł grób na ścieżaj !)

Gra triumf na świat wszystek,
tą harfą brzmi eolską, —
(Czy Tyś to powstał, Chryste ?
Czy Ty powstałaś — Polsko ?)

Tak dzień wiosnami krzyczy !
Tak Wolność pachnie w pieśni !
(Już chyba Bóg był zliczył
i wyrzekł słowo: „Wskrześnij“ ! — ?)

ADOLF FIERLA



O Zmartwychwstanie

Medytacje na Wielki Tydzień

NIEDZIELA PALMOWA

Mam w dłoniach kwiatne palmy
a w sercach krzyk: — Hosanna !
(Świt przepiewuje psalmy,
zórz blask łśni na dziewannach.)

Palmy się w śpiewy kłonią,
kwiat-psalm na wargach kwitnie —
(Dzień przyszedł w dzwony dzwonić
i w radość się błękitnić.)

Hosanna w wysokościach,
Syn idzie Dawidowy —
(Czas w niebo drogi prosić
Bogiem i Bożym słowem.)

WIELKI CZWARTEK

Otom zgrupował wszystkich
wieczorną tą godziną —
(Jak chleb wonieje żytni,
jak krwią się krwawi wino !)

Bierzcie i jedzcie spolem —
wnet pójde, — Jużem gotów.
(Czy śmierć to tam za stołem
uraga dniom żywotów ?)

Bierzcie i wszyscy pićcie —
godzina ma się zbliża —
(Czy się po ścianach, czyj cień
podnosi z ziemi ? — Krzyża ?)

Uczniowie moi mili —
nie może być inaczej...
(Wieczór się w noc swą chyli,
by rósł w dni swych przeznaczeń.)

FP 1787

POWSTAŃCY! POWSTAŃCY!

Kraków mego dzieciństwa jest czerwony i złoty. Pochody, jubileusze, pogrzeby, rocznice, śluby magnackie, procesje, wszystko to wyglądało, jak obraz namalowany przez Matejkę, więc pełen purpury, a oprawny w sute ramiy ze złota. Wielu innych barw dostarczały Krakowowi wsie podmiejskie, przede wszystkim Bronowice, które miały parafie u samej Panny Marii. Tam ciągnęły wesela krakowskie od strony Bramy Floriańskiej, hukające, pałające batów, rozśpiewane, strojne we wszystkie możliwe kolory, we wstążki, w pawie pióra.

Lecz w Krakowie mego dzieciństwa jest jeszcze pewien odcień, dyskretny, cichy, szary, tak jakby Grottger łączył się z Matejką. Idę przez Planty, więc przez ten drugi, po Rynek, salon Krakowa, a matka albo babka nachyla się do mnie, mówiąc: — „Widzisz, ten pan bez nogi to powstaniec! A ten drugi, który idzie z nim razem, to malarz, Benedyktowicz! Stracił w powstaniu obie ręce po łokcie! Przywiązują mu do kikutu pedzel... O, a teraz wita się z nimi rektor Tarnowski! On także był w powstaniu a jego brat zginął...”

Pamiętam to, doskonale pamiętam. I pamiętam, że ci powstańcy mieli swój dom przy ul. Biskupiej, tuż koło klasztoru Wzytyk. I pamiętam, że później, z biegiem lat, przeważnie wszyscy chodzili w jednakowych kapotach czy czamarach-mundurach barwy ciemnoniebieskiej. I pamiętam, że w Wielką Sobotę ci powstańcy szli na resurekcję do katedry. Stali tam tłumy ogromne pod Wawelem czekając, aż odezwie się „Zygmunt”. Krakowiaczy nigdy nie mają dość tego dzwonu i słuchają go zawsze jak gdyby po raz pierwszy w życiu.

Więc stoję, dziecko jeszcze, pod Wawelem od strony Plant. I wśród ogromnego tłumy odzywa się nagle cichym szeptem słowo: — „Powstańcy! Powstańcy!” Tłum faluje, powtarzając to słowo. Wszyscy zdejmują kapelusze z głowy. Gdzieś niedaleko słychać, jak matka strofuje dzieci, mówiąc: — „Zdymcie czopki! Nie widzicie, że idom?”

Rzeczywiście, idą, idą czwórkami, trzymając się prosto, jak się tylko da, najbardziej prosto. Szept: — „Powstańcy! Powstańcy!” rośnie, faluje pośród tłumy, który rozstąpiwszy się, robi szpaler. O, padł jakiś kwiat! I drugi! I dziesiąty! I setny! Ale oni idą jak wojsko. Więc ktoś, pani jakaś, przybiega i szybko, starając się nie zepsuć rytmu kroków tego oddziału, przypina do ciemnobłękitnej czamary kwiat. Uśmiechnął się ten staruszek. Zasalutował.

Zwolnili trochę, pnąc się pod stroną górę. Już niemal dosięgają bramy a jeszcze ich widać, jak idą przez szpaler. I stamtąd, z wysoka, dolatuje znów słowo: — „Powstańcy! Powstańcy!” I tam także wszyscy zdejmują kapelusze z głowy. O, teraz jakaś matka, stojąca koło mnie mówi do dziecka:



rysował ZDZISŁAW BORYSOWICZ

— „Wdziż czopkę! Zimno! Już weszli!”
Stoi przed Wawelem, już w kapeluszach. Trzeba je będzie zdjąć za chwilę, gdy zadzwoni „Zygmunt”. Wkrótce zadzwoni. To sprawa najwyższej pół godziny. Ale nas wszystkich ogarnia jakaś niecierpliwość. Dlaczego jeszcze nie dzwoni? Wszyscy patrzą na zegarki. Nad nami jest wieża. Ktoś dostrzegł, że serce zakolało się lekko. Pst! Pst! Cicho!

Już dzwoni! Już się przelewa przez miasto! Już je zatapia w złocie! Raaaaz — dwa! Raaaaz — dwa! Już matka żadna nie przypomina dziecku, że trzeba zdjąć czapkę z głowy. To się rozumie samo przez się. „Zygmunt” dzwoni!

I w tym dzwonieniu rozgłosnym i gorącym, rozmodlonym i groźnym, cichym a grzmiącym, oni pierwsi wychodzą z katedry. Już widać ich. Kroczą powoli w rytm uderzeń dzwonu. Rozstępują się ludzie, i na chwilę, na chwilę króciutką, oni, ci powstańcy,

są ważniejsi niż wszystko inne, ważniejsi nawet niż sam „Zygmunt”. Słuch ustępuje miejsca wzrokowi. Oni są pierwsi. Pierwsi dla całego miasta.
Wiadomo, szynki i kielbasy posłał im na Biskupią Sataleki, Bialik, Kurkiewicz, a wino, kóżby inny, jeśli nie Hawelka, no i Grosse. Miód Wójci-

tem skracają na lewo, koło Plant, by wjechać w Krowoderską a stamtąd tylko parę kroków i już Biskupia. Jadą a z nimi razem biegnie szept „Powstańcy! Powstańcy!”
Mniej ich z roku na rok. Gdy byłem dzieckiem, sporo ich przewijało się przez Kraków. Potem liczba zmalała

dzi! A o dwunastej będzie zaciągnięcie warty na odwachu! Polskiej warty! Tam już wszystko gotowe, pod odwachem! A chorągwie nie ma! Dlaczego?! Dlaczego?! Cóż, do diabła! Na co czekają?

Na powstańców. Po prostu na powstańców. Choćby nawet zaciągnięcie warty miało się opóźnić o kilka minut, trzeba czekać. Oni muszą być przy tym! Przecież to jasne jak słońce, jasne jak dzień, jak pierwszy dzień niepodległości. Muszą być przy tym! Jakżeby można bez nich? Zresztą oni jadą już, są koło św. Marka, czy nawet bliżej Rynku, bo pod Hotelem Saskim... O, teraz widać ich, u wylotu Sławkowskiej!

Tak, widać ich. Zniecierpliwienie nagle opada i tłum zastępl. Pojawia się na wargach słowo: — „Powstańcy!” Nie spóźnią się. Będą na czas. Już wysiadają z dorożek. O, tam, koło kamienia Kościuszki. Tak, tak! Idą, idą! Mało ich, ale idą. Starzy już, bardzo starzy, ale idą przedko, w rytmie, w czysty takt, że słychać tylko ich kroki. Jednego z nich trzeba prowadzić. Staruszek siwiuteki. Trzyma się, ach, jak się trzyma! Jak chce się trzymać! On musi być w tej chwili prosty, prosty jak świeca!

Staną na miejscu dla nich wyznaczonym. I dopiero, dopiero wtedy, wybiła dwunasta na Pannie Marii, czekając jakby ich przybycia. Jakże cicho jest! I jak dobrze! Jak szczęśliwie! Lepiej być nie może! I słońce świeci! I teraz padają słowa komendy. I odwach na ratuszu, przed chwilą jeszcze austriacki, już jest polski. I nad żelazną balustradą zakwitną sztandar biało-czerwony.

Na to, na ten moment wyczekiwał hejnał. Wystrzelił w niebo, rozkołysił się melodią, w wieńcu gołębi, które przyleciały teraz z pod Panny Marii i koluja nad Ratuszem. Słychać tylko hejnał i trzopot skrzydeł. Ale wszystko milknie nagle, bo oto zdaleka, z p.l. Wawelu, płynie „Zygmunt”, rozlewa się po rynku, uderza o ściany domów starych, o Sukiennice, o Pannę Marię, o św. Wojciecha. Znajdą wszyscy w tłumie ten głos, ale dzisiaj jest on inny, tysiąc razy piękniejszy, niewypowiedzianie szczęśliwy, dobry, i — po raz pierwszy chyba — roześmiany.

A oni, ci powstańcy, trzymają się prosto. Jak żołnierze. Czekali — ach, ileż to lat? Czterdzieści pięć! Okropny kawał czasu. I doczekali się. Drżą im wargi, po policzkach płyną łzy, kapią srebrne, nieutulone, ale pogodne, radosne.

Lzy szczęśliwe. Lzy Resurekcji.

ANTONI BOGUSŁAWSKI

ZYGMUNT NOWAKOWSKI

PRZED ZMARTWYCHWSTANIEM

*Dalbym ci, dat, gaybym tak miał,
z mgławicy tej — fujawicy —
nie tylko strzępek poblakłych chwiał,
lecz wołę hardszą, twardszą od skał,
i ostre szpony orlicy.*

*I rozwiew dał, abyś się chwiał
skrzydłami ponad polami
i byś radośnie orłową znal
i runął w przyziem pełzających ciał,
gdy słońce będzie nad nami.*

„Krakowski jestem stakier,
Z krakowską fantazyją!
Czapeczkę mam na bakier
I długą ferezyją!”

— śpiewał o nich kuplet w „Królowej Przedmieścia” Krumłowskiego. Więc już ci powstańcy jadą. Przez Grodzką, przez Rynek, przez Sławkowską, po-

może do dwudziestu, którzy przeżył chyba najpiękniejszy moment: pewnego słonecznego dnia, było to 31-go października 1918 r., nie zapomnę tego dnia do śmierci! — Kraków nagle, błyskawicznie szybko, zrzucił na bruk, w błocie podeptał wszystkie orły austriackie, strącił z murów szлды czarno-żółte a oficerom austriackim czapki z głow.

I równie szybko, w jednej sekundzie, Kraków stał się biało-czerwony. Chorągwie tryskały z dachów, z okien, z wież, eksplodując jak race. O, na „Baranach” już jest! O, teraz zapaliła się na Pałac Spiskim! I na Krzysztoforach! O, widzicie! Na Szarej Kamienicy! Pod Jagnięciem! U Fisherów! Na Sukiennicach! Cały Rynek! Cała Grodzka, Bracka, Wiślna, św. Anny, Szewska, Szczepańska, Sławkowska, św. Jana, Floriańska, Mikołajska... Ale... Ale dlaczego jeszcze jej nie ma na Ratuszu? Tam powinna być najpierw! Przecież Austriacy już zwinili z Ratusza! Dwunasta docho-

WESOŁEGO JAJKA!

Święta Wielkiej nocy to święta młodości, radości, wiosny, zwycięstwa i nagłych boleści żołądkowych. Rozdzwonione dzwonami, tryskające zielenią i śmiechem trafiają prościutko do serca, bo idą przez żołądek. Kantorbery Tymowski tak wyśpiewywał przed stu laty w swej „Odzie do brzucha”: — „Kiedy pocie żołądek się ścieśnia, stygnie w nim zapal, przerywa swe pieśni i z uniesieniem za kawal pieczeni dramę zamieni”. Oto poezja bez poetyckiej przesady, oto prawda absolutna. (Podobno w Norwegii pokazują restauracje, w której Hamsun tworzył swój „Głód”).

Zmieniają się czasy (z podłych na podłejsze), zmieniają się ludzie (z kapitalistów na komunistów), wojny wybuchają i gasną, ale tradycja — ten most linowy pomiędzy pokoleniami — żyje wiecznie młoda i zalotna jak miłość, jak wiosna, jak biały walczyk. Z tego kraju, gdzie jedzenie odarto z poezji, gdzie nie celebruje się jedzenia, gdzie to boskie misterium zdegradowano do zwykłej czynności fizjologicznej, w dniu świątecznym myśl wzruszona trzepocze do staropolskiego stołu uginającego się pod najserdeczniejszym balastem, pod balastem białej polskiej kielbasy i apetycznej na różowo spoconej szynki.

Grabowski w swych „Gawędach o Wielkiej Brytanii” trafnie zauważa, że Anglicy, choć fizycznie duszą się w czterech ścianach wielkiego miasta, moralnie czują się nadal mieszkańcami wsi, tam są ich serca, tam leży ich prawdziwa ojczyzna. Stąd w najciaśniejszym zaułku, w najciemniejszym zakątku wielkomiejskiej nędzy, choćby między śmietnikiem a murkiem uprawiają sobie pęk rachitycznego zielska, parodię ogródka. Jest to ich hold dla opuszczonego country.

Podobnie i my, chociaż fale losu (celowo piszę „fale”, a nie bałwany, bo ludzie zrobili się ostatnio tacy wrażliwi), chociaż nas fale losu zagnały do blaszanych antałków goryczy i innych drewnianych bud na buddyjską kontemplację, choć głodno, chłodno i do domu daleko, postanawiamy sobie w tym dniu uroczysty złożyć hold tradycji i — zjeść całotygodniową rację za jednym zamachem. Alleluja, dla was kochane przodki, staropolskie obżartuchy, na waszą część Radziwiłły.

Panie Kochanku, Zagłoby, Sapięhy, pijaczyny boże, miodopijcy koronni! Ale dyngusu poniechamy, dyngus trwał całą zimę, lało się z dachu, lało się przez komin do pieca, lało się, jak na tonącym „Titanicu”. Uczta nie będzie huczna, zastawa nie srebrna, lecz aluminiowa, jajka nie malowane, lecz niecznie sproszkowane, a baby złoście w kexsy pozmianiane (może i nawet w te obrzydliwe z cebulą i kminkiem, bo i tymi ta ziemia słylnie), ino te same blyszczące oczy, ino te same niemodne wąsy i ta sama serdeczność przy jedzeniu. Dawne to były czasy, bodaj przedpotopowe, kiedy dziady wioskowe, włośczykije od-pustowe wyśpiewywały przez nos pod rozwielkanocione niebo:

„Na półmisku świński ryj,
jajco w zębach, jeno zryj —
w ręku dynada kielbasa,
człek popuścić musi pasa,
o Jerum, Jerum, teluja,
Baby ciałe luktowane,
rodzynkami nabijane,
w sroćku migdał najśłodziejczy,
Panie Jezu Najmilszzy —
o Jerum, Jerum, teluja!”

Zamiast tej naszej kielbasy, wcinanej dawniej przez byle dziada, a kształtnej a tocznej jako to ramie dzwiczęce, otworzymy, bracia-beczkosyady, obozowi puszkarze i puszki, nową puszkę z sosiskami! Wyjmij tam który korde-lasem trochę tej szarej masy, na-jedzmy się tego szarego mydła, niech nam po kieliszku piwa bańki mydlane popłyną z roześmianej (od nadmiaru żalności) gęby! Alleluja!

Jan Kochanowski, najaktualniejszy poeta polski, bo tak chętnie śpiewał o li-pie, mówi: „Serce rośnie, patrzac na te czasy”. I on w swym Czarnolesiu, wszystko z góry przewidział i o wszyst-ki-m wiedział już przed wielu laty, m.i. przeczuwał brak wódczności na tej wyspie, kiedy w swej proroczej strofie tak się wyraził o Drugim Korpusie:

„temu wina nie trzeba przytęwać,
ani grać na lutni, ani śpiewać,
będzie wesoł, byś chciał, i o wodzie,
bo się czuje prawie na swobodzie!”

Swoboda, coż za wielkanocne słowo! (Niedawno doniosły gazety, że jest i w Kraju. Swoboda w Kraju? A jakże: tak się nazywa czechosłowacki minister wojny bawiący w stolicy.) „Serce rośnie, patrzac na te czasy”, na czasy „prawie swobody”, zaprawdę, gdyby nie ta szczypta humoru, nieraz wisiel-

czego, humoru, o którym mówią, że jest „kołem ratunkowym na falach życia”, że jest „podświadomym buntem człowieka przeciw śmierci”, najpiękniejsza Wielkanoc w Beczkowicach Dolnych czy w Barakowie Górnym byłaby tylko nocą.

Ale humor to wierny aliant, on nas nigdy nie opuści! Beczki to „przykrość w ta pora” — jak mówią Wilniuki. („Ze zamknięty w beczce niewygodnie siedział — żalowali żołnierza, on im odpowiedział: „miej ty sobie pałace, ja mój dom kaleki, prawda, że bez wygody, lecz i bez — Bezpieki”). W jednym z obozów, gdzie brać od-dawna nie cierpi na przejedzenie, ktoś wywiesił kartkę: „Zginął kot treso-wany. Wabi się „Pekapercio”. O zwrot proszą wszyscy mieszkańcy z pod „osemki”. Kot służył do przy-noszenia prowiantu w pysku dla całego baraku.” W jednej z gazetek obozo-nych jakiś poczciwiec dał znów takie ogłoszenie: „Kto z chętnych kolegów, wyjeżdżających do Kraju w stronę Radomia zechciałby za dobrą zapłatą zabrać dla mojej teściowej piecyk kalfowy z rurą?”



Są i inne powody do wesołości. W obozach „dla rodzin” wybiera się samorząd, są wybory pięcioprymiot-nikowe, a jakże, agitacje, intrzyki, kulisy, walki klas i baraków, ale kiedy zbierze się „rada miejska” do kupy, rajcy poruszają wszystkie bolączki, od bomby atomowej poprzez rzekomą sode w jedzeniu aż do wydawania bezpłatnego przyodziewku. Pewien pa-triотyczny rajca już się wstawił jako parlamentarzysta. Złożył on interpelację w sprawie granic na Bugu pod adresem obecnego na sali... sergienta brytyjskiego, inny zaś zapytał: „jakim prawem na marynarce otrzymanej w podarku z Ameryki widnieje etykiетка: „Ubraniopol-Pabianice”? Podarowa-waniem koniowi nie zgładzą nam zęby (dlatego też dla zachowania sobie prawa swobodnej krytyki nigdy nie jadam bezpłatnych befsztyków w jed-nej z polskich jadłodajni w Londynie), ale wyodaje się, że wszyscy kochani filantropi po tamtej stronie Oceanu umówili się, aby przysłać do Europy fraki, tużurki i długie, czarne, z tyłu rozcięte surduty z epoki Abrahama Lincolna. Surduty te posiadają m.i. tę zaletę, że w okresie mrozów można sobie nimi obwiązać nogi na noc.

Żart na stronę, samorząd w obozach to bardzo mądry pomysł, jeśli tylko rajcy korzystając z nietykalności po-selskiej nie uchwałą w przystępie goryczy przyłączenia Wielkiej Brytanii do swego obozu; nie tylko odciążą władze wojskowe, które z 500 cywilami mają większy kłopot niż z całym plutonem regularnego wojska, ale może na przy-szły rok wymyślą jakieś porządniejsze i wilgotniejsze święta. Nie ma co ukrywać: od czasu, gdy nizekzemi cywile wykryli bombę atomową, wojsko im nie dowierza. Nigdy nie wiadomo, co w takich niedolegach z kate-gorią D drzemie, może jakiś uran czy inna wojna bakteriologiczna? Obecnie samorząd te sprawy wyjaśni.

Nie wszyscy mogą grać w beczkach w ping-ponga, brak jest piłeczek. Ale są zajęcia bardziej emocjonujące. Na przykład: „sądy obywatelskie” czy „honorowe”. Prawnik z dyplomem za-wsze się znajdzie (jest tyle sił w narodzie”). A gdzie jest już raz wy-brany sąd z zatwierdzonym regulami-nem, tam i o sprawę nie trudno. Aczkolwiek Sarmaci odznaczają się

wrodzoną niechęcią do wszelkiego pieniactwa, sądy nie próżują, gdyż obozy są koedukacyjne (cherez la femme), a ciastość beczek wpływa na usubtelnienie konstytucji nerwowej „każdego jednego”.

Niektórzy z naszych już się całkiem dobrze urządzili. W pewnym obozie pewien pan już się z Angielką ożenił. To nie byłoby jeszcze takie dziwne. Ale ojciec tej małej ma przedsiębior-stwo pogrzebowe i masz rodak ku uciesze całego obozu i przy owajach małych dzieci co dzień przejeżdża koło beczek zmotoryzowanym karawanem do „pracy”. Anglicy w okolicy stawiają go wszystkim za wzór, taki jest chętny i gorliwy. Raz to nawet za-jechał po takiego jednego, który jeszcze żył i był zdrow jak byk. Ale to wszystko przez ten trudny język angielski. Po prostu się przesłyszał.

Trudny język nie tylko w obozach komplikuje życie. Opowiadają, że pewna misja katolicka zaopiekowała się tre-ma żydowskimi pacholatkami, sierotami ocalałymi z „kacetu”. Pewnego dnia starsza zakonnica (superior sister) zdenerwowana wezwwała malców do siebie: — To, że wieszacie czapki na po-sągach świętych — przebaczam. To, że myjcie ręce w święconej wodzie — też wam przebaczam, ale jak mnie jeszcze raz zamiast „sister superior” nazwiecie „siostrą Szapiro” — z kla-sztoru was wypędzę!

W życiu codziennym wystarczą jed-nak narazie stosowana angielszczyzna tego żołnierza, który umawiał się z Angielką do Glasgowa. Najpierw stuknął siebie palcem w pierś i rzekł: „aj goł”, potem stuknął ją i rzekł: „ju goł”, potem podszedł do autobusu, stuknął w autobus i rzekł: „bas goł”, a na zakończenie powiedział: „glas-goł”. No i jakos się dogadali. Ale z kobietą zawsze łatwiej się dogadać. Przynajmniej przed ślubem, potem już gorzej, bo z dogadania robi się dogadywanie.

Ten temat zająłby nam kilka no-wych felietonów, a tu już, mości pano-wie, nową butelkę piwa niosą do stołu, pożyczmy sobie tedy tradycyjnym zwyczajem „sto lat w polskim wojsku” i westchnijmy cicho: „Serce... rośnie, patrzac na te czasy”.

TADEUSZ NOWAKOWSKI

OD MONTE CASSINO DO PIEDIMONTE *

STRZELEC WYBOROWY

I rzeczywiście od samego świtu zaczyna się nawała. Był jak nocą skłone bunkry ratuje to, że są one nad naszym skrajem szkarpy. Granat moździerzowy padający za bunkrem leci półtora metra w dół i nie przynosi szkody. Ale z powodu ognia szpadałów nie można wytknąć głowy. W piechocie jest już pięciu rannych.

Koło godz. 09.00. Niemcy spostrzegli odwody (ulanów) i przeniesli ogień moździerzowy w dół, ale bunkry trzymają pod groźną strzelców wyborowych. Ludzie w bunkrach drętwieją, nie śmiejąc wytknąć głowy.

Por. Tymieniecki postanawia coś radzić na te zadniwe osy**. Każde sobie podać z piechoty karabin z lunetą i wraz z jej dowódcą na miejscu, por. Bachmanem i jeszcze jednym obserwatorem wchodzi się do dobrze zamaskowanego stanowiska w ruinach.

Ppor. Bachman i strzelec-obszerny przez szczelinę w ruinach obserwują teren. Tymieniecki w tym nie bierze udziału — nie ma prawa męczyć wzroku.

Chodzą oka lunet po krajobrazie poplupanych ścian, po szarych szutrowiskach, po fragmentach murków półzrujnowanych, kryjących tarasy, po balkonach smętnej zwisających w festonach powiętych metalowych wiązadeł, po winklach narożnych okien o odbitych pociskami framugach, po pieczarach wybitych pociskami w murach, zięjących czernią, po galerijkach, na których ogniś suszyła się bielizna, a teraz śmierć siada, po wyłomie baszty, w której siedzi samotnie Durlik ze szkieletemi, po żalonymkach ginących w nagłych zakrętach uliczek.

— Jest! — woła po upływie pół godziny strzelec.

— Gdzie? — pyta Tymieniecki, biorąc lunetę.

— Tam, widzi pan porucznik tę szczelinę w murze odległą o 100 mtr? —

Porucznik widzi dokładnie szczelinę; jest ciemna i nic w niej się nie rusza.

— Przecie tam nie ma!

— Panie poruczniku, a teraz niech pan spojrzy.

Istotnie — szczelina błyska światłem. Karabin — cichutko — oparł się wylotem lufy na gzymsie — nie wystaje ani o piędź. Muszka narychtowała się dwa cale nad podstawą szczeliny.

Oczekiwanie.

W pewnej chwili szczelina znów ciemna.

Spust!

Szczelina — zajaśniała.

(Po zajęciu Piedimonte znaleźliśmy tam trupa z przestrzeloną czaszką.)

Teraz jeden obserwator obserwuje tylko szczelinę, a drugi obserwuje teren.

Po dwudziestu minutach woła: — Jest!

Tym razem Tymieniecki bez lunetki widzi: różowy domek odległy o 100 metrów: płachta na balkonie; okno narożne, a w nim — część twarzy z kolnierzem.

Poszedł strzał — Niemiec się więcej nie pokazał (po zajęciu miasta nie można było zweryfikować strzału, bo różowy domek, balkon, płachta, okno narożne — wszystko to było rumowiskiem).

Z tamtej strony też chodzą po nas oczy lunet; prawie bezpośrednio po strzale uderza trzask o kamienny brzeg szczeliny, z której strzelał Tymieniecki; pyłek i swąd, jakby kto skrzeszał krzesiwo.

Trzeba wyczołgiwać się z wykrytego stanowiska do prawoskrzydłych bunkrów.

Zalogi tych bunkrów skarżą się, że są pod stałym ostrzałem broni maszynowej z dalekiej odległości.

Ppor. Tymieniecki lokuje się w dole, w którym już jest tylko miejsce dla obserwatora. Por. Bachman obserwuje z domu.

Teraz luneta błędzi po dalekim dystansie. Są to rudawe zbocza za Piedimonte, odległe o jakie 1.000 metrów, w krańku lunety przesuwają się małe sektory widzenia: usypiska,

kilkanaście oliwek, coś jak zamglona ścieżka...

Luneta uczepiła się tej ścieżki, pnie się nią w górę i znów zjeżdża w dół i znów z powrotem.

Jest! Najwyraźniej — bunkier sklecony z bali.

Tymieniecki nastawia celownik 1.000 metrów. Strzela świetnym pociskiem w ambraturę bunkra.

— Za krótki!... woła obserwator.

— Gdzie upadł?

— Pod samym oknem.

Poprawka.

— Siedzi!...

— Człowiek!

Tymieniecki chwytta za lunetkę: — Zwab wysunął się, zamachał drwiąco chustką, tak jak się macha na strzelnicę sygnalizując pudło i znikł.

— Lesiak — widziałeś?

— Widziałem — krzyczy pehor. Lesiak z pobliskiego czołga.

— Granat — tysiąc jardów — schron — ognia!...

Ruch w wieży czołga — strzał.

— Za krótki! Więcej, dwie podziałki.

— Za długi! Mniej pół (podziałki).

— W celu!

— Po dwa!

Idą dwa strzały. Rozszedł się dym — kupa rumowiska.

Odpłacili za kpiny.

Na strzelający czołg zlatują się moździerze. I jak za atakującymi wilkami pojawia się krwiożerca Baghera (pantera), tak niezwłocznie napytuje się jedno niemieckie działo ciężkiego kalibru.

Po stronie polskiej — wszystko zaraz znika po dziurach.

W jamie ukazuje się — lisia twarz. Jej właściciel wtoczył na nią uśmiech, jaki mając pies pyski, kiedy pies zawinął i czołga się na czterech łapach, ale merda ogonem markując uciechę. W oczach uśmiechniętego Niemca — obłędna twroga.

Wyciągnęli tego pierwszego — to Paul Minich — dowódcę bunkra.

Za nim jeszcze dwóch.

Nurknęli nasi do bunkra — wyciągają precyzyjną broń małokalibrową, plecak, wyładowane amunicją, peryskop.

Karabin z lunetą... Pancerni spojrzeli po sobie. I w dół — tam długo schła kałuża krwi s.p. mjr Tarkowskiego. I na ten nie uprzątnięty jeszcze trup Kolodziejczyka. I Rodzinkiewicz poległ z tej samej ręki... i to ten właśnie „snajper“ przestrzelił helm Kuczuka.

Obejrzeni się na jeńców. Stali wyprostowani na baczność i przysłi o wodę. Nie mieli jej od trzech dni. Gdy pierwszy strzał 20 maja zwałił ich schron, zesłi o piętro niżej, mieli tam strzelnicę. Dopiero dziś w nocy i tam ich zwałiło.

To więc tu ta bestia kąśliwa... Niemcy mówią szybko i dużo. Wyprostowani, wciąż proszą o wodę. Odpowiadają szybko, odpowiadają na wszystko, byle przedź wody...

— Komendant... tak, to ja — mówi ten pierwszy, niski. Strzelec wyborowy? To ja — mówi ten wysoki. I znów służbiste pytanie, w którym drży skamlenie:

— Czy można dostać wody? Oczy pancernych wpijają się w tego wysokiego spadochroniarza w czapce z daszkiem, z wystającymi zębami.

— Ty... scierwo — pada ciężkie słowo, napojone tak straszną nienawiścią, że mordercza Tarkowskiego i innych zmilkł nagle.

Jest — chwila milczenia tak straszną, że umilkli nawet gadatliwi filmowcy, nie rozumiejący, co się tu dzieje.

— Niech który skoczy po wodę — mówi kpt. Weiss, oficer łącznikowy Korpusu.

MELCHIOR WAŃKOWICZ

OSTATNI JEŃCY

doszli do tego miejsca, gdzie sterczą deski.

Ktoś im tłumaczy, że to był schron. Świećmie; niech Lesiak stanie z tomiganem nad tymi kamieniami i nastawi broń w dół tak, jakby wzywał kogoś do wyjścia.

Koledzy pokpiwują, ale ppor. Tymieniecki woła, że przecie to jest propaganda naszej sprawy.

Lesiak niechętnie staje na kamieniach; mści się na jakiejś szmacie, która pęta mu się pod nogami — chce ją nogą odrzucić. Ale Anglik wpada w zachwyt: niech się po nią schyli — będzie to wyglądało jak biała płachta, „którą wywiesza załoga bunkra“.

Zły jak cholera Lesiak pochyla się do tej nieszczęsnej szmaty, pancerniaki nabijają się na całego, kiedy nagle — słychać stłumiony głos z podziemi.

Sceneria się zmienia. Lesiak krzyczy *Hände hoch!* i wycelowuje tomiganem.

Tymieniecki przyskakuje do bunkra i zaczyna odwaląc glazy. Za nim inni. Robi się ścis. Oszołomiony, ale nie tracący przytomności filmowcy drze się jak obdzierany ze skóry, by mu nie przesłaniał widoku i już kręci — na przód.

Celowniczego „Morusa“ Kossowicza korei sprawdzić, czy nie na próżno wypuścił ostatnie pięć pocisków pepane, jakie wystrzelono w tej walce o Piedimonte. Dobrawszy towarzysza, poszedł do zwalisk na skarpię. Pełno było po drodze min, ale już się wszyscy kropneli za Wasiakiem, jak to rozbrajać. Rozbroili kilkadziesiąt sztuk tego, doszli do zwalisk. Zobaczyli deski przywalone usypiskiem — coś jak drzwi.

Poczęli odwaląc kamienie, ale poniechali, bo takie wejścia nieraz były minowane. Poszli dalej, znaleźli trupa niemieckiego w mundurze spadochroniarza, z maską na twarzy, z granatami za pasem, otoczonego sześciu rurami faustpatronów.

Tymczasem z dołu — zaczął się ciąg „turystów“. Przyjechali filmowcy angielscy (polscy zapewne byli zajęci uwiecznianiem jakiejś dekoracji, przemówienia, czy nabożeństwa).

Korespondenci czepili się Lesiaka, że muszą zrobić „wzięcie jeńców“. Brudny, spocyny Lesiak, któremu kosmyk włosów spada na czoło, stoi w swoim zaoliwionym kombiniezonie i patrzy z zakłopotaniem na gestykulację *cameramanów*.

— Ale ci nie dają za wygraną. Akurat

RIKSZĄ PRZEZ OKUPOWANĄ WARSZAWĘ *

W kilka dni po śmierci Poltyna otrzymał Nikodem rozkaz wyjazdu z Warszawy. Powierzył pieczę nad fabryką Romance i mecenasowi, polecając im jednocześnie opiekę nad — Barbarką. Mieli się ponadto wystarać o dodatkowy przydział kwasu. Na to kładł główny nacisk.

(Ponieważ mecenas i tak musi zniknąć na jakiś czas z Warszawy, więc niechaj jedzie gdzieś w okolice Krakowa i stamtąd doskakując na parę godzin dziennie do miasta, niech pilnuje tej sprawy.)

Wczesne lato było tego roku. Dnie są upalne, noce bezchmurne, w śr.dmieściu duszne, w dzielnicach podmiejskich pełne zapachu bzów i jaśminu.

Rozgłoszono w fabryce i w mieście, że Nikodem czuje się nietego ze zdrowiem i wzięł urlop. To było prawdopodobne.

Wdział długie buty i stare ubranie sportowe. Pozegnał się z przyjaciółmi — i zniknął.

Ma wrócić za miesiąc.

się od wielu lat, nie przyniosła mu coprawda do chwili obecnej szczęścia — jeżeli były nawet w jego rękach zadatki szczęścia, to je z ręk lekkomyślnie wypuścił — ale też nie znudziła mu się jeszcze.

Z trzech pasji młodości: pracy społecznej, zainteresowań artystycznych i zamiłowania do miłostek, pozostała mu obecnie (mecenasa liczy czterdziestkę) — już tylko ta ostatnia. Rozwinięła się natomiast, w czasie wojny, pasja nowa: lubi zarabiać pieniądze.

Umie zarabiał pieniądze... W tej dziedzinie, kto wie, może zdystansuje nawet Romanke.

Mecenasa, rozpartego wygodnie w rikszy roi, że zdystansuje przyjaciela także w tej drugiej dziedzinie.

Robiąc przed czasem bilans, już sumuje dwie pozycje spodziewanych zysków. (Tej lekkomyślniej buchalterii nauczył się, rzecz prosta, także od Romanke.) Barbarkę uważa oddawna za owoc dojrzwały. Niebawem — tak myśli — sam upadnie. Nie potrząsa tą gałęzią jedynie z lojalności w stosunku do Nikodema. Nikodem, zdaje

się, jest tam nieco zaangażowany. Ale obecnie wyjechał, zresztą jest zawsze tak bezgarniecznie zajęty. Ustąpił zapewne dobrowolnie z placu.

Teraz przybywa młoda malarka...

— Niezłe... — powiada sam do siebie. — Wecale niezłe... — Dodajmy jeszcze firecik z Zosią, Danusię... Elżbietkę.

Jest zadowolony. Gdy mijali B.G.K. i skrzyżowanie Alei Jerolimskich z Nowym Światem zastanawiał się: — czyby nie wstąpić do fryzjera i odrazu nie zgolić bródki? Coby też powiedziała Barbarka...

— Ale przypomniał sobie niedokończony portret. — Tego nie mogę jej zrobić — pomyślał. (Tym razem myślał o młodej malarce.) — Zgolę brodę pojutrze.

Martwił się chwilę Janem Nowakiem. Ale ostatecznie dłażegoży Jan Nowak nie mógł nosić dwa dni bródki... Niebezpieczeństwo czaiło się wszędzie. Jeżeli ma przyjsć, to przyjdzie bez względu na brodę. (Ludzie stawali się w tych czasach takimi napół-fatalistami. Ukrywali się, maskowali, zmie-

niali, mieszkania i nazwiska, ale wszystko to są oczywiście półśrodk. Tę drugą, brakującą połowę, zastępowali właśnie pół-fatalizmem.)

— Dwa dni mnie nie zbawia — pomyślał.

I zdecydowany odwrócił się ku riksziarzowi. Rzucił wesoło:

— Pod Gąskę...

Uśmiech zamarł na jego ustach. To był wyjątkowo stary riksziarz. Z twarzy, która w tej chwili przypominała maskę wykrzywioną bólem, ściekał strumień potu. Pod wilgotnym kolnierzkiem i przyklepioną do piersi koszulą czuło się gwałtownie pulsujące arterie. Ta część Nowego Świata — od Alei do Krakowskiego — wznosi się w górę. Nigdy o tym nie pomyślał.

Mijali właśnie Pałac Staszica.

— Stop! — zawołał nie odwracając się. — Niech pan zajdzie pod pomnik Kopernika i chwilę poczeka. Ja wrócę parę kroków do księgarni...

Idąc przypomniał sobie rozmowę, jaką miał rok temu z pewnym byłym radcą ministerialnym, pracującym na rikszy. „Warszawa leży na równi-

nie?...“ — mówił były radca z krwawą ironią w głosie. — „Panie! nikt nie wie, jakie tutaj są góry... Tylko konie i my — riksze“. (W międzyczasie radca urządził się. Handluje zmiotkami z warsztatów jubilerskich. Podobno niezłe zarabia.)

Idąc ku księgarni snuje swoje rozważania socjologiczne przed dwudziestu nieomal laty porzucone. Myśli: — Gdyby to ode mnie zależało — zniósłbym riksze. To znaczy... — poprawia się, bo rozumie przecież, że ludzi tych pcha do pracy, tak zdzierającej zdrowie, nie kaprys, ale twarda konieczność gospodarza — to znaczy... — zastanawia się, nie wie bowiem co należało by zrobić. Bez przekonania snuje dalej swoje rozważania: — Postaralby się o kredyty... o kredyty... — żeby zmortyzować riksze... Stop! To jest nonsens. A więc?... — skrzywił się. — Cóż bym zrobił?

Zirytowało go to pytanie, zdawało by się, takie proste, a przecież, jeżeli nie tylko uczciwie postawić, nie mające odpowiedzi, jeżeli nie chce się zaraz ruszać niejako z posad całej bryły świata. Bo ostatecznie — nie chodzi t y l k o o riksziarzy... Rzecz sprowadza się do nadmiernego trudu, do pracy ponad stan sił. Do godziwego zarobku... Kto go ma?

— Ja zarabiam... — pomyślał o mące kartoflanej, o loju utwardzonym, o rzepaku, o bańkach skzlanych na drzewko — czas pewien robił niezłe interesy na ozdobach choinkowych — o czeskiej sztucznej biżuterii —... Zarabiam przeciętnie piętnaście miesięcznie... To nie jest dużo. Ale — ile wynoszą zarobki robotnicze... Ile otrzymują urzędnicy...

Kupił w księgarni książkę pod tytułem „Czarny Ład“ z cyklu „Wielkie Podróże“. (Czyżby to była podświadoma forma jego ucieczki?...)

Wracając do riksziarza i widząc, że siedzi on na stopniu gmachu Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, na wprost pomnika największego odkrywcy, z głową zwieszoną nisko między utrudzonymi kolanami — stracił całe zainteresowanie dla podróży w głąb „Czarnego Ładu“. Biały niewolnik widząc go zerwał się i dziarsko wlaź na swoje trójkołowe narzędzie udreki.

Przymknął oczy. (Z ust nie schodzi mu skrzywienie na polu bolesne, na polu sceptyczne.)

Gdy ruszyli, nie otwierając oczu, bez słów mamrotał w głębi duszy: — ja bym zrobił... ja bym zrobił... — Ale nie powiedział, coby mianowicie zrobił.

Gdyby był młodszy, układałby w tej chwili prawdopodobnie, jak Pierzgałski-syn, swój „Regulamin Porządku Światowego“. W kraju tym bowiem zdolnym do heroizmu w rzeczach wielkich, w rzeczach największych ograniczamy się zwykle do dobrych chęci.

JAN BIELATOWICZ

LONDYN PO RAZ PIERWSZY

Tak, mgła. Żywiol, z którego jest powietrze Anglii. Starożytecy filozofowie rozróżniali cztery elementy w budowie świata, n'e znajdując miejsca dla tego piątego żywiołu. Rozciąga się jego potencja między ziemią a wodą.

Jak wyspy brytyjskie. Jak człowiek brytyjski. Jak twórczość brytyjska. Jak historia Anglii. W mgł, otulony jest Londyn — „na znak miłości“, jak o wst:dze Wisły i Krakow'e mówi polska piosenka. Nigdzie nie ma w Anglii tyle tej mgły, co właśnie w Londynie. Tuż za rogatkami stolicy blyszczy wszystkimi barwami pogoda, a Londyn spowity jest w swoją mgłę, jak klejnot w futerał. Londyńczycy zapewne nie przypuszczają, jak piękna jest pogoda Anglii.

Anglicy Kochają nie tylko swoją z'e-mię, ale i swoją pogodę. Mówią o niej tyle i tak, jak mówi się o rodzinie, o bliskiej osobie. Kochają też swoją mgłę. Są z niej bardziej dumni, niż Polacy z babiego lata. Mgłę wrpż:gli Anglicy w służbę swego narodu, „Pewna mglistość, która charakteryzuje umysłowość angielską, brak wyrazistych konturów, subtelna różnorodność myślenia, wszystko to każe myśleć wnikliwemu obserwatorowi o narodzie angielskim w kategoriach kl.matu. I w samej rzeczy klimat Anglii stanowi jeszcze jeden ważny czynnik, wpływający na jej charakter“ — pisze autor niedawno wydanej książeczki „Duch dziejów Anglii“. A. L. Rowse (po polsku w tłumaczeniu St. Balińskiego). Piśmiennictwo angielskie kąpie się w mgł, i mglistości. W malarstwie Turnera, Constable'a, Gains-

borough'a, Crowe'a mgła odgrywa tę rolę, co rycerskie strojnietwo u polskiego Matejki.

Mgła jest dla Polaków zjawiskiem posępnym. W litewskim zaścianku w „Panu Tadeuszu“ najmłodszy z młodych jest ów mglisty poranek, w którym „za przykładem niebieskim wszystko się spóźniło na ziemi“. Krajobraz angielski i dusza ang'elska wydają się dlatego Polakom smutne. Smutek jest kolorem duszy angielskiej. „Merry England“ — to takie samo nieosiągalne marzenie, jak „Polska od morza do morza“.

Piccadilly jest sercem Londynu i symbolem życia ang'elskiego w pojęciu szerokiej warstw narodu. Przez tę małą, prowincjonalną przestrzeń przebiega codziennie milion ludzi. Smutek jest w ich idealnej jednakowości, w ich niewzruszonym opanowaniu, w ich precyzyjnej tożsamości wychowania. Nadaremno spodz'ewać się w tym tłumie głośniego śmiechu, próżno wy-czekiwać niespodzianki okrzyku, dowcipu, chwignego kroku, fantazji w zachowaniu. Oryg:naly i oryginalności ujęte są tu również w system. Trudno na świecie znaleźć gdziekolwiek taką masę ludzką, żyjącą tak banalnie.

Najsmutniejsze są miejsca przeznaczone w innych punktach globu na wesołość. Do pubów uczęszczają najsmutniej ludzie Anglii. Najżałośniej wygląda Anglia od strony kaskad cieniutkiego piwa, które uraga przeznaczeniem swojego wynalazku. Oberżyci angielscy zachowują się jak wrogowie ludzkości. Skąpstwo uchodzi za cnotę u tego narodu. Wśród rochicznych

cnót wielkiej królowej Elżbiety wylicza się dumnie skąpstwo.

Smutek osiadł także w dostojestwie fald szaty konserwatyzmu ang'elskiego, w jego wierności historii, w jego gotyku. Zw:edzając kościoły Londynu, chciałoby się stać uciec na koniec świata — od tej przytłaczającej surowości. Katolicyzm, a szczególnie katolicyzm polski, holduje barokowi. A *Church of England* zastęgi w gotyku. Przy samotnym zw:edzaniu opactwa westminsterskiego wieczorem opanowuje człowieka zimny strach, wynurzający się z kamiennej grozy. Słoneczna rzymska bazylika św. Piotra Michała Anioła i Berniniego w kopii londyńskiej katedry św. Pawła Christophera Wrena jest siedliskiem smutku. A przecież słońce jest we fryzach katolickiego Brompton Oratory, a nawet w bizantyjskiej katedrze katolickiej Westminsteru. Pustką świecą anglikańskie kościoły, podczas gdy nurt życia płynie przez katolickie. Zmierzech panuje pod sklepianiami anglikańskich świątyń Londynu. Trudno jest od razu pokochać Londyn temu, kto pokochał Rzym.

Kiedy starożytny Rzym chylił się do upadku, objawiało się to w szaleństwie bogów i ludzi. Nowożytny Londyn, który ogień swego istnienia zapalił i zniżył starego Rzymu i przyjął na siebie rolę Rzymu w nowoczesności, nie zna smaku szaleństwa ni bogów ni ludzi. Jeżeli jest dziś gdzieś na świecie takie szaleństwo, Londyn jest na przeciwnych jego krańcach. Bo w mgł, i smutek angielski spowita jest sła.

EPOKI KSIĄZEK

Dawne książki wydobywamy dziś spod „złogów epok”, jak Schliemann Troję. Epoki te — to nasze powrotnie, lecz zawsze inne obcowanie z tymi samymi książkami.

W młodości czytało się je tylko dla ich treści, dla fabuły. Książka musiała być „zajmująca”. I choć nie żądało się już, żeby była „cudowna” albo „czarodziejska”, smak czytelnika nawiązywał jednak do bajek dziecięctwa, do ich zamkniętej konstrukcji i do rozstrzygnięć na rzecz wyidealizowanego zmyslenia.

Kiedy następowało ostateczne odrzucenie fantastyki dzieciństwa, a sprawy młodego życia urealniali się — książka służyła jako sprawdzian szerszego poznawania zjawisk, ciągle jeszcze zagadkowych. Czytelnik domierzał zatem treści książek do własnych doznań i konfrontując ją z otaczającym go światem, przeżywał już coś więcej niż zajmującą opowieść, bo pierwsze konflikty, rozczarowania i zwątpienia.

Książki, które czytał — zazwyczaj „zakazane” — demaskowały dorosłych nie tylko w dziedzinie erotyki, ale także w ich walce o przekonania, o byt, o miejsce w gromadzie. Młodzi czytelnicy, przeobrażając się w srogiego inkwizytora wyrokował nieomylnie na rzecz sprawiedliwości i dobra. Żadne gorycze z powodu własnych klęsk nie dorównywały tym głęboko przeżywanym wzruszeniom książkowym. Po pierwszych zwątpieniach zjawiały się pierwsze oznaki sprzeciwu i buntu. Ukryty przed szpiegowanym wzrokiem dorosłych, młody czytelnik narkotyzował się książką, poczem wyrzucał ją na światło dzienne — odmieniony, krnąbrny, trudny.

Książka uspołeczniała więc czytelnika wcześniej, niż budziła w nim poczucie piękna. Dotyczy to przede wszystkim prozy. Zanim bowiem młody czytelnik wyluskał z prozy — ściślejszy z beletrystyki — jej wartości artystyczne, słowo ujęte w inną formę budziło w nim nieokreślone przecucia: poezja, wiersze dokonywały się w nim pierwotnym prawem rytmu, rymów, śpiewności i patosu, dając nieświadome i bezrozumne uczucie szczęścia, mieszającego się tak samo w radości, jak w bólu i rozpacz. W którychś wczesnym roku życia opadały jednak z czytelnego wiersze, jak liście. Na czas jakiś, niekiedy na długie lata zanichawszy poezji, pograżał się odtąd całkowicie w beletrystycę. Szukając w niej wskazań i wyjaśnień, ba, mądrości życia, natrafiał mimochodem na wartości pisarskie, na różnolite i zdobywcze piękno prozy. To nowozaślędzenie, biorące się już z innego źródła odczuwania, podnosiło skalę czytelnictwa, które zyskiwało cechy bezinteresowności.

Ale wtedy właśnie wkroczył czytelnik w nową epokę: szkolną. Ukochane książki, samorzutnie ocenione, okazywały się — rzecz znaną — „arcydziałami literatury”. Dostąpiły jednak tej wysokiej miary, ulegały szkolnej wiksiewce. Wszystko było już tutaj gotowe, ujęte w schematy i formuły, rozpatrzone w szczegółach, opatrzone komentarzami nauczyciela i wydań szkolnych. Dramatyczne sprawy Wokulskich, Judymów, Madz, Cedrów, Bohunów, Borynów, Kmiciców, Robaków czy Wołodyjowskich — zastąpiły w formuły psychocharakterologiczne i zmierzały prosto do wniosków wychowawczych. Uczeń, ludzono „samodzielną” wypracowania, biedził się nad narzuconymi zestawieniami („Ks. Robak i Kmicic”, „Judym i Wallenrod”), a wpadłszy w sidła programowych ustaleń, miał się bezradnie i posłusznie. Ciosy, zadawane przez szkolną metodę, z trudem wytrzymywał nawet „Pan Tadeusz”; Sienkiewicz, któremu wprawdzie wierzono na słowo, kapitulował przez „rozbiorem charakterów”; Żeromskiego ratowały tajemnie pod ławką czytane „Dzieje grzechu”.

Jednakże mimo tych skrepowań i sztańc, nauczyciel-polonista ujawniał jakieś tajemnicze właściwości książek, podniesionych do hierarchii „dział”. Odarte z czaru bezpośredniości samotnego czytania, książki nabierały znaczenia jako przedmiot drobniagowych rozważań krytycznych. Uczeń, który w zniechęceniu przestał już być czytelnikiem, popadał w manię czy też pasję badania. Niepokojąc nauczyciela i kolegów, dochodził do własnych przekornych wniosków i skłony do herezji, wyrokował samowolnie, w gniewnym przeświadczeniu o swojej słuszności. Wiele z tego gniewu przylgło do „arcydział” na drugo, niekiedy na zawsze. Uczeń pokonany szkolnym rygorem, wymykał się jednak przepisywanej lekturze, aby po dawnemu skrycie dobierać się do niekontrowalnych utworów pisarzy współczesnych. Ich pozaszkolny rozgłos sprawiał, że czytanie nabierało cech snobizmu.

Po epoce szkolnej formalistyki, o ile ktoś nie zajął się fachową literaturą, — następowała „epoka zepsucia smaku”, albo zupełne zaniesienie książek. W pamięci pozostawały jedynie strzępy poetyckiej czy powieściowej treści, niezastosowne w samodzielnym życiu dorosłych. Dawna, niedgdy ukochana książka, przelotnie dostrzeżona w witrynie księgarskiej, zdolna była tylko wywołać uśmiech

wyrozumiałości. Natomiast nowe nieznanne tytuły i nazwiska musiały być szczególnie atrakcyjne i rozklamowane, żeby zniechęcić opornych. Być może, że archeologicznie dokopawszy się kiedyś do tej warstwy złogów, znajdzie nierozcięte książki, butwiejący wysiłek pisarzy Polski Odrodzonej. Znajdzie jednak ich książki. Istniały bowiem w tej niewdzięcznej epoce, wbrew obojętności społeczeństwa.

To, co potem przyszło, było: okupacją jedną i drugą. Było: konfiskowaniem, paleniem, niszczeniem, cenzurą. Ale było też jednocześnie powrotem do czytelnictwa zakonspirowanego, więc znowu młodego i żarliwego. Tak miała się rzecz w Kraju. A na obczyźnie, zwłaszcza w przymusowym odcieciu, książka polska stała się przedmiotem tak cennym, jak była to, co nie jest osiągalne. Zubożało o wszystko — kłóby się tego spodziewało? — szukałmy jej, dorabiali na nowo.

Tak właśnie było w ZSRR. Książki, wrzucane do tobołków drzącymi rękami w momencie wysiedlania, przybyły potem do Buzułuku czy innych miejsc organizowania się Polskich Sił Zbrojnych — w stanie takiego sponiewierania, jak ich właściciele. Zaczęły być w „posiolkach”, książka była już tylko plikiem kartek albo szarą ziemistą cegielką. Pozbawiona swojego kształtu i rozmiaru, w niczym nie przypominała włożonych starym wydawców. Jej przypadkowość, uzasadniona dopiero późniejszą pocytością, przybrała znamiona niemal mistyczne. Był więc któryś tom „Ogniem i mieczem”, kilka arkuszy „Urody życia”, czytanka szkolna. Można było w tych czasach szafować wszystkim banalami: „żywe słowo”, „pokarm duchowy”, „symbol”, „skarb”. Można było nie żałować sobie tych określeń, skoro wyrażały najistotniejszą prawdę.

Okazało się zatem, że książka jest potrzebna, że po prostu trudno żyć bez niej. Mniejsza o to, że była czymś zastępczym, że rekompensowała wszystko utracone. Ludzie więzieni, łagrów i posiolków przyznawali się, że brak książki odczuwali nieraz dotkliwiej niż głód. Książka nie była jednak dla nich czymś oderwanym, książką byle jaką. Miała tytuł: „Pan Tadeusz”. Niektórzy mówili: „Trylogia”. Kilku starszych przyznało się z żałowaniem, że: „Robinson”.

W Buzułuku i w Jangi-Jul była już „biblioteka”. Przychodziły wydawnictwa z Anglii, buszowało się po sowieckich księgarniach w Taszkencie, odnajdywało jakichś ukrywających się bibliotekarzy i antykwary, albo ktoś szepsem wskazywał prywatne domy, w których były nie księgozbiory, ale płażące się, niepotrzebne książki polskie. W ten sposób udało się nabyć kilka niekompletnych powieści Kraszewskiego, Klemensa Junoszy, tom Ignacego Chodźki. Były to nikle resztki polskich księgozbiorów, które niewątpliwymi drogami zawędrowały z Ukrainy do Uzbekistanu. Już sam los tych nieraz w półskórek oprawnych książek układał się w imaginacyjną opowieść. „Hrabina Cosel”, bez początku i końca, wchodziła w tę opowieść jak zjawiająca się z portretu, strasząca w starym dworze.

* Któregoś dnia sierpnowego 1941 roku — wyjeżdżałszy już z Jangi-Jul na Krasnowożsk do Iranu — przyszła kobieta z walizką owianą sznurami. Razem z małym synkiem przydzielała te walizki, w której były książki. Należały one do jej starszego syna, kilkunastoletka zamordowanego podczas pracy na „posioku” przez Kazaka, który upodobał sobie zegarek chłopca. Kobieta, pani P., pragnęła oddać te książki „w dobre ręce”, aby ktoś miał z nich pożytek. Bardzo uważnie patrzyła, jak bierze one do rąk i jak je wkładam do ZSRR. Dar po zamordowanym nie był bez wartości, mimo, że były to przeważnie książki szkolne, podręczniki literatury, wypisy. Na każdej książce imię i nazwisko zmarłego napisane ręką matki. Z krzykiem — znakiem śmierci. Dotykając tych książek rękami nerwowymi i płochliwymi, napominała mnie surowo: „Trzeba uważać, mój syn bardzo lubił swoje książki”. Owdoiwale po tej miłości chłopca, książki w Italii przez cały rok służyły nauczycielom i nauczycielkom z Gimnazjum i Liceum PSK w S. Giorgio. Potem wróciły do biblioteki redakcyjnej „Ochotniczki”, zawsze tak samo używane, a jednak jakby zatęchłe. Są, przecież ciągle książkami chłopca, który zginął w stepie.

Kiedy jednak Londyn, w tamtych latach dość ruchliwy i troskliwy, zaczął nadsyłać tom po tomie: „Trylogia”, „Pana Tadeusza”, „Wierną rzekę”, „Wiatr od morza”, „Wesele” — nastąpiła już nowa epoka tych książek. Czytając je, usiłowano ich odległą treść i nastroj wtopić w przeżycia i wydarzenia aktualne. W tym zamiarze naganania ku sobie i teraźniejszości — było jakby konstruowanie zapleczka potwierdzanie się w nurtujących myślach.

Ze zdumieniem, z zachwytem i z rozpaczą przyjmowano od Sienkiewicza lekcje „pokrzepiania dusz”, od Żeromskiego wyrzut niespełnienia społecznych nakazów, od Mickiewicza wieszczenie przyszłości, od Wyspiańskiego niecierpliwa gorycz. Wiele pisarzy wróciło na swoje pozycje, skoro nawet tak niedawno jeszcze zblazowani czytelnicy znowu reagowali młodzieńczo i pierwotnie.

Nie wszyscy oczywiście przeżywali tę epokę odrodzenia. Byli bowiem tacy, którzy z książką wypożyczoną z tej — pozał się Boże — biblioteki, zetknęli się po raz pierwszy w życiu. Bez względu na wiek, byli to naprawdę młodzi czytelnicy — zapaleni i skłonni do wątplenia jednocześnie. Nie dali się oni tak łatwo ująć w karby, choć narzucano im poniekąd belferskie oceny. Oświatowy wojskowi, wychodząc z nieco innych założeń niż szkolne, posługiwali się bowiem również gotowymi sztańcami, wprawdzie nie literackimi lecz wychowawczymi. Pogadanka w świetlicy brała rozmarzonego czytelnika na spytki. Ale nie zawsze tak wypadło, jak sobie postanowił oświatowiec czy świetliczarka. Choćby nie wiedzieć jak chciano z książki zrobić pretekst, surowy jeszcze czytelnik, nie obeznany z twórczymi zamierzeniami pisarza, sam z siebie potrafił domyślić się i wyczuć jej sens i piękno. Dostrzegł też po swojemu jej wady i braki.

To też nieoficjalnie i nieobowiązujące rozmowy z czytelnikiem były nieraz rewelacyjne. Na przykład o „Weselu” powiedział mi któryś, że nie rozumiał o co tam chodzi, ale książka jest piękna, bo — gra, śpiewa i tańczy. Z sarkazmu poety pozostał — wodewil, uroczy bezsens rytmu i łatwych rymów. O Żeromskim tak mówiono: że niby to pisze naszym językiem, ale wszystko jakoś inaczej i dlatego osoby są nieprawdziwe, jak we śnie. Nie był to zarzut, tym bardziej, że doszła do tego konkluzja: „to, co jest w książce, nie musi być prawdziwe”. Pisarz, „szarpał od trzewi”, spełniał teraz rolę zmyru sennej, a w najlepszym razie odwoził czytelnika od rzeczywistości takiej, jaka nie śniła się ani filozofom ani poetom.

Bardziej świadomi spraw pisarskich, odrzucał balast swojej wiedzy, aby bez przeszkód oddawać się radosnemu czytaniu. Zazwyczaj tego niezmąconego szczęścia zaczęło jednak wkrótce przeszkadzać coś innego. Nie trudno było stwierdzić, że wiele z tych książkowych zagadnień uległo przeobrażeniu. Wpływały na to nie tylko sprawy związane z wojną, nie tylko klęski, nadzieje i troski. Gromada polska odcięta od tubylczego środowiska, ogarnięta obcą przyrodą, w tym ściślejszą weszła zażyłość z książkowymi ludźmi. Wpędce więc przejrano ich na wskroś, przewartościowano, zdemaskowano. Stosunek do bohaterów uległ zmianie na przekór przejrzytej intencji autorów i wbrew dotychczasowej interpretacji miarodajnych krytyków.

Ta nowa epoka mogłaby nosić pretenjonalną nazwę: „przewartościowanie wartości”, gdyby nie szczególne warunki, w jakich znajdowali się czytelnicy. Było to bowiem w pustyni irackiej, gdzie stany depresji przepływały się w zaburzeniem psychicznym. Jakakolwiek książka wywoływała więc niespodziane reakcje, przewrotnie i naiwne jednocześnie.

Stało się to zwłaszcza z kilku powieściami o sławie ustalanej i zdawałoby się niewzruszalnej. Krążyły te książki po namiotach, w których dusznym

wętrzu sprawy dawnego życia rozpatrywane były z bezwzględna surowością. Tęsknota za minionym naczodziła dopiero nocą. Człowiek stawał „na progę” namiotu niemal zaspany gwiazdami i przeświecony księżycem aż do głębi serca. Wyśmiewany przez szakali weselących się w sąsiedztwie obozu, nie chciał i nie umiał porzucić mlecznych dróg, po których wędrując, docierał do malutkiego celu swojej wyobraźni. Wtedy przeczytana książka tylko uzupełniała zasoby uczuć. Treść natomiast, czy też poglądy wielu z tych książek, uległy już przewartościowaniu, nie towarzyszyły swojej omyłnej racją marzeniem pustynnej nocy.

Właśnie w pustyni irackiej dotarła do nas „Lalka” Prusa. Nie pamiętam, czy to było nowe wydanie palestyńskie, czy też egzemplarz z „Pism Bolesława Prusa”, wydanych na kilka lat przed wojną przez Gebethnera i Wolffa. Wszystkie dawne sugestie wyszły naprzeciw tej powieści, tak lubianej i powszechnie uznawanej. Teraz jednak z toku powieści wylonily się jakieś fałszywe zawinone uprzedzenia autora. A może tylko zawił subiekt Rzecki, tworząc legendę Wokulskiego. Tymczasem doszły czytelnicy do wniosku, że nuworisz Wokulski tak samo nie zasługuje na współczucie, jak „lalka” Izabella na potępienie. Romans kupca z hrabianką przypominał nieomal „Trędowatą” przy rolach odwróconych — jeżeli wziąć jedynie pod uwagę uproszczonego konflikt miłosny i zagadnienie „sfer”.

Zarzuty czytelników dotyczyły jednak przede wszystkim charakteru Wokulskiego. Metody tego starszego, bogatego pana nie były przecież dżentelmeńskie. Wypuścił wesele i srebra rodzinie Łąckich, nabył przez podstawioną osobę kamienicę Łąckich na licytacji, posługiwał się detektywem, szpiegował, po prostu osaczał pannę Izabellę. Autor nie zataił, że amant nie był pociągający, ale takie novum w powieści drugiej połowy XIX w. miało wówczas swoją atrakcyjność. Gorzej, że handlowe pomysły pana Wokulskiego i w tamtych pozytywistycznych czasach nie mogły uchodzić za obywatelskie. Więc sprowadzanie rosyjskich perkalików dla konkurencji z łódzkimi, więc ta niewyraźna, złotodajna spółka z kupcem rosyjskim Suzinem... Czyżby pan Wokulski był „ugodowcem”? Jeżeli tak — nie mógł liczyć na sympatię czytelników, którzy mieli inne przekonania polityczne. Wokulski, balansujący między romantyzmem a pozytywizmem, musiał ostatecznie utracić obywatelstwo naszych czasów, ale utracił więcej, bo czytelnicy dzisiejsi przestali być jego sojusznikami przeciw pannie Izabelli.

Znaleźli się wprawdzie i tacy czytelnicy, którzy z całą wyrozumiałością oceniali Wokulskiego w kompleksie jego urazów. Ci jednak mieli pretensje do autora za to, że sam nie wyżył się przesadą klasowych. Gdzieś, już w fabularnym gąszczu powieści ujawniło się szlachectwo rodowe Wokulskiego, po to chyba, żeby megalomani panny Izabelli nieco złagodzić.

O ileż realniej i prościej (w dodatku z happy endem!) wyłożyła swoje tendencje reformatorskie Orzeszkowa w „Nad Niemnem”, tej czarującej krajobrazowej powieści. Ale i tu ta sama wstydlivość co u Prusa, ta sama nieporadność, gdy chodzi o sprawę klas, czy też sfery. Jan Bohatyrowicz jest przecież także szlachcicem, bodaj zaściankowym.

Czytelnicy tych powieści — gdziekolwiek byli: w Iraku, Palestynie, Egipcie czy Włoszech — nie godząc się na tę szkatułkową kastowość, zrażali się nie tylko do bohaterów powieści, ale i do pisarzy, których pomawiali o oportunizm społeczny. Tak osadzając utwory, które powstały przed dziesięćkami lat, nie domyślali się jednak czytelnicy, że właśnie ich żywa reakcja potwierdza ciągle żywą wartość tych książek. Można bowiem odbronić bohaterów i poszerzyć zakres zagadnień, ale piękno i prawda „Lalki” lub

„Nad Niemnem” to przecież styl epoki, tło obyczajowe, opisy przyrody — to te marginesy właśnie, w których pisarz ujawnia się i urzeczywistnia.

A teraz inna pozycja sporna: „Ludzie bezdomni”. Czytelnicy tej powieści doznawali takich uczuć, jak gdyby zostali zdradzeni i oszukani. Judym, doktor Judym! Jakże się to mogło stać, że ich tak zaczerował w młodości a nawet w szkole, że w Polsce Odrodzonej zawędrował „pod strzechy”, aby tam być ideałem społecznika i rewolucjonisty? Teraz tenże sam czytelnik, wywodzący się spod strzechy, a zgodnie z nim robotnik miejski i inteligent nie dali się już przechytrzyć Judymowi, który tak bezambitnie, w poczuciu mniejszej wartości klasowej „podnosi oczy” — na hrabiankę. Można na usprawiedliwienie Judyma powołać się na jaśniepański motyw miłosny, powtarzający się w rozmaitych wariantach w niemal wszystkich powieściach Żeromskiego. Już nawet nie szlachetecyzna, ale magnateria w rozgrywek społecznej — uczuć!

Kiedy potem wysunęła się na plan pierwszy klasowo-współmierna miłość Joasi, ubogiej, dobrej i, jak się to dziś mówi, ideowej dziewczyny, nikt już nie wątpił, że Judym nie odszedłby tak górnio i chmurnie od hrabianki Natalii. Mariusz z hrabianką uatwiłby mu zrealizowanie reformatorskich projektów, dałby mu pozycję nie tylko społeczną, ale i towarzyską. Judym, znalazłszy „szczęście w domu”, może nie zapomniaby, że szczęście „nie było w ojczyźnie”. Ale takie fabularne ujęcie uatwiłoby bohaterstwa, umniejsziliby cierpienie i uprościliby konflikty. A właśnie te konflikty wydały się czytelnikom urojone, za czym poszło, że runął mił Judyma. Książka, która wstrząsała sumieniem paru pokoleń, aby długo potem służyć szkolnej dydaktyce jako „wzorcowe silnych charakterów”, doczekała się niemal całkowitej klęski ideologicznej.

Co zatem pozostało z „Ludzi bezdomnych”? Jeden — z tych młodych, nieinstruowanych czytelników — odpowiedział: „Została Joasia, pokrzywdzona, dzielna dziewczyna. Ona jest najważniejsza w tej książce”. A po namyśle dodał to, co nurtowało tych wszystkich naprawdę bezdomnych ludzi: „Dlaczego Judym tak postąpił? Z Joasią byłoby mu łatwiej żyć na świecie i walczyć o te wszystkie dobre sprawy. Niewiele potrafiłby zrobić człowiek bez domu”. Własnowolne wyreczenie się Judyma wydawało się tym ludzkiem pozabawionym kraju i domu — doprawdy irytujące. Chcieli oni prostych rozstrzygnięć według swoich doznań i swojej tęsknoty. Dlatego też w ich pojęciu liryczna miłość Joasi mogłaby każdemu wyznaczyć jego miejsce na świecie.

Rewidując swój stosunek do tych książek, czytelnik nie zdawał sobie sprawy z przemian, jakie w nim nastąpiły w czasach „rzeczowości”. Nie chciał więc zrozumieć, że dążenia i wnioski pisarza tkwią w czasokresie jego twórczości, zaś trwałe zostaje tylko to, co ma cechy nieodmiennie ludzkie, albo jest powrotem jako zjawisko historyczne.

Dlatego zapewne nikt nie sprzeciwiał się „Nurtowi” Berenta, mimo, że podobniejsza z naszym czasem nie dawała zadośćuczynienia. Czytelnik dostrzegł przecież, że powracająca fala zniosła go na dawne miejsca bitew, aby go ponownie okryć chwałą, otulić sławną śmiercią i znowu kusić doświadczeniem. Zrozumiał czytelnik nie tylko z „Nurtu”, ale z wydarzeń bieżących, że przymusy polityczne mają właściwość odbierania rozumu obywatelom. Ten pogląd na dzieje i losy nie był jednak w sprzeczności z celowością toczącej się wojny. Wszystko musiało się powtórzyć — i wojna, i rozczarowanie — aby powtórnie przysłała wolność. A doświadczenie? A nauka, która poszła w las? Pisarz nie jest temu winien, że mądrzejszy od męgłów stanu o całą wspaniałość swojej wizji twórczej, — tylko tworzy, lecz nie kieruje losami narodów i świata.

Wizje pisarza działają jednak pobudliwie i każdorazowy czytelnik ma prawo uczestniczyć w tym przetwarzaniu rzeczywistości na dzieło sztuki. Czytelnik rozporządza bowiem nowymi elementami swojej społeczności i uzupełnia, albo — jak się to stało z przytoczonymi utworami — przeciwstawia się stanowisku pisarza. Nie powstrzymuje czytelnika od korzystania z uprawnień współtwórcy nawet „klasowość” dzieła. Ale stąd łatwo wysnuć pocieszający wniosek: że książka nie jest martwą pozycją.

„Pociecho moja” — pisał Wyspiański w swoim erotyku do książki. Był wtedy czas pokoju, kontemplacji w wiślanym pejzażu nad brzegiem rzeki. My wydobywaliśmy książki nawet spod grzybów w czasach nieszczęść i grozy wojennej. Mówiliśmy wtedy bez patosu, że książki więcej dla nas znaczą niż pokarm krótkiego życia: chleb. Z chlebem łączy się wieloraka symbolika. Ze słowem również. Stąd — ze słów poczęte i do spraw ludzkich podobne — dzieło pisarza żyje, umiera i zmartwychwstaje.

JALOWIEC

Jalowiec jest czepliwy.

*Wie to jemioluska :
on jej — piórka, gdy ona skubie mu jagody.
Kret-kopacz, odwalając dogłębne podchody,
o twardej korzeń smoli akksamity brzuska.
Krzew się zasyła pionem w co najłżejsze piachy,
cmokce po wywieśkach — aż siornie zwilżenia
i doskonałym stożkiem wnet się zazielenia,
strosząc dostatnio igły w palczate baldachy.*

I dymy ma czepliwe.

*Gdy jechał Podlasiem
od Liwca w zadumane nadbużańskie strony —
kraj senny, trójkrzyżami przy wioskach znaczony,
po mokradłach — bociany w zadrzemanu ptasiem,
a nad czerwondziobe zmarmokone głowy
z każdej miedzy, od każdej przycupniętej chaty
snuje się, jakby znakiem przedwiecznej oibaty,
pachnący, kadziłlany opar jalowcowy.*

Próbuj wyrwać jalowiec.

Nadwyręzysz dłonie.

Popróbuj go przesadzić — uschnie i zmarnieje.

*Kędy się sam wysięje, dobrze mu się dzieje
na co najłżejszym smugu, na płonym wygonie.
Ktoby go chciał przeszczerzać, darmo się mozoli :
samo-swoję, sobiepański, gietki a nielomny,
czepliwy i cierpliwy — piasków zwid ogromny...
Jak leśny ptak : chce słońca, swobody i woli.*

A teraz ty, człowieku :

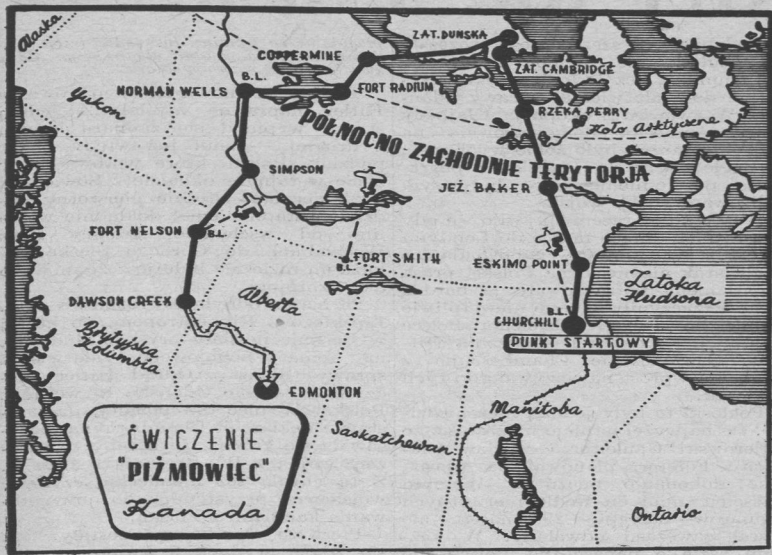
*przez zawieję czarną
targniętyś poza morza, i góry, i rzeki,
i tylko przez stulone łaską snu powieki
myśl rzucasz na swą ziemię, jak jalowiec ziarno.
Skrąż w sobie wszystkie soki. Nie nalam się.*

*Powiedz,
że chociaż w luk przemożna siła cię ugina,
odegniesz się — i kiedy wybiję godzina
odrośniesz w słońcu, wolny śródleśny jalowiec.*

ANTONI BOGUSŁAWSKI

HERMINIA NAGLEROWA

ĆWICZENIE „PIŹMOWIEC”*)



60 100 200 300
SKALA W MİLACH.

NA DALEKIEJ PÓLNOCY

Białymi plamami odcina się na mapach Kanady ogromny, bo jedną, trzecią obszaru Dominium zajmujący szmat ziemi, nazwany sucho: Północno-Zachodnie Terytoria. Białe plamy na południu wrzynają się w oznaczone prostymi liniami granice prowincji, tworzących właściwą Kanadę. Od zachodu sąsiaduje Yukon, wchodzący jeszcze w skład Północno-Zachodniego Terytorium z amerykańską Alaską. Na wschodzie zatoka Hudsona oddziela wschodni płatek terytorium — Keewatin od odległego o tysiąc kilometrów Półwyspu Labradorskiego. Ku Północy zaś białe plamy rzędna w niebiesko znaczone Oceanie Lodowatym, tworząc w szeregu większych i mniejszych — ale ciągle jeszcze bardzo dużych — wysp trzecią część terytorium: Franklin. Największy jednak obszar ma część środkowa — Mackenzie, często nawet utożsamiana z całym tym szmatem ziemi podbiegunowej. Szmatem niebyłej wielkości, bo równym obszarowi Europy bez Rosji, Półwyspu Skandynawskiego i Wysp Brytyjskich.

Polowa obszaru Północno-Zachodniego Terytorium leży na północ od koła podbiegunowego. To samo tłumaczy znikomą ilość mieszkańców, która sprowadza się do jednego człowieka na obszarze stu mil kwadratowych! Białe plamy na mapie Kanady coraz bardziej nabierają barw. Powstają osady, odkrywa się coraz nowe złoża cennych i nawet bezcennych minerałów. Węgiel, złoto — i najważniejszy dzisiaj uran. Zainteresowanie Północno-Zachodnim Terytorium wzrasta. Nie tylko zainteresowanie pojedynczych ludzi, awanturnych poszukiwaczy przygód i majątku, ale zainteresowanie badaczy, techników i wojska.

Najdobitniejszym dowodem tego zainteresowania jest wyprawa „Musk-oz” zorganizowana przez Kanadyjskie Ministerstwo Obrony Narodowej równo rok temu. Wyprawa wojskowa, wspierana przez cywilnych fachowców, doszła do skutku dzięki współpracy Ministerstwa Kopalni, Komunikacji, Królewskiej Konnej Policji i rady badawczej Terytorium Północno-Zachodniego.

Cel wyprawy, mającej przede wszystkim charakter badawczy stanowiło przestudiowanie możliwości współdziałania sił powietrznych z wojskami lądowymi w okolicach podbiegunowych i wypróbowanie sprawności specjalnych gasienicowych pojazdów t.z.w. „Snowmobiles” (śnieżne samochody) na szlaku 5000 kilometrowym, z czego 1300 km na północ od koła podbiegunowego.

Wyprawa miała trwać 81 dni. Połowa tego czasu przypadła na przejście okolic w najcięższych warunkach zimy podbiegunowej 1500 km przy następującej wczesniej wiosnie, reszta już w pełni roztopów. Całego zaopatrzenia dostarczali z powietrza „Dakoty”, dla których uruchomiono specjalnie bazy w Churchill, Yellowknife, Norman Wells i Fort Nelson.

14-go lutego wyprawa ruszyła. 45 żołnierzy i cywilnych obserwatorów w dwunastu samochodach śnieżnych opuściło Port Churchill nad Zatoką Hudson w prowincji Manitoba. Kierownik wyprawy ppłk. P. D. Baird, miał z sobą kierowników innego ćwiczenia w okolicach podbiegunowych a przed wojną stale mieszkał właśnie w Churchill.

Po niespełna trzech miesiącach zgodnie z ustalonym planem — uczestnicy wyprawy golili swe długie już

*) „Exercice Musk-oz” — zdajemy sobie sprawę z nieścisłości polskiego przekładu, gdyż „Pizmo” to dosłownie „Muskdeer”. Jednakże nie wydaje się celowe wzbogacenie języka polskiego jeszcze jednym pizmowym nowotworem na oddanie słowa i tak dorywczo uktętego w angielskim.

Przeciętna głębokość śniegu, stwierdzona podczas tego ćwiczenia: 6 metrów!

„Niedźwiedź polarny” zaczął się w Górach Skalistych w lutym 1945 i trwał pełnych czterdzieści pięć dni. Brało w nim udział 1154 żołnierzy — zaopatrywanych tym razem z powietrza przez samoloty, startujące z bazy na zamarzniętych jeziorach. Tutaj głębokość śniegu była mniejsza, bo przeciętnie niespełna 3 metry.

Ćwiczenie „Leming” trwało zaledwie dziesięć dni i dało możliwość wypróbowania po raz pierwszy na dużej przestrzeni, bo na 1000 km — nowych „Snowmobiles”. Te gasienicowe pojazdy śnieżne, zbudowane częściowo z aluminium a częściowo z dykty, wykazały niezwykłą sprawność. Z daleka podobne do ogromnych „Carriers” — przewały się jak czołgi przez pola śniegowe, krzaki, zamarznięte jeziora i rzeki. Po takiej próbie dopiero można było powierzyć im zadanie wielokrotnie cięższe od dotychczasowych: ćwiczenie „Musk-oz”.

WYPRAWA „PIŹMOWIEC”

Wyprawa szła przez trzy części Terytorium Północno-Zachodniego, pomijając jedynie najbardziej na zachód wysunięty Yukon. Punktem wyjścia był port nad Zatoką Hudson — Churchill (skąd od 1929 odpływały statki wyładowane zbożem stepowych prowincji Manitoba, Saskatchewan i Alberta — do dalekiego Londynu i Amsterdamu). Cztery dni później samochody śnieżne wchodziły do posterunku Eskimo Point już na obszarze Keewatin. Stamtąd szlak prowadził na północ, poprzez Jezioro Baker do posterunku Cambridge Bay, położonego na wyspie Wiktorii a więc już za głęboko zamrzniętym morzem.

Wyprawa trwała już prawie miesiąc i część maszyn odeszła jeszcze bardziej na północ do posterunku Denmark-Bay. Tutaj bliskość bieguna magnetycznego — około 350 km na wschód — uniemożliwiała zwykłą nawigację, dając wyprawie możliwość posługiwania się radarem. Poprzez pola lodowe i śniegowe na wyspie Wiktorii i w cieśninie Dolphin szły teraz „Snowmobile” z powrotem na amerykański kontynent do Coppermine i dalej na południe do Fortu Radium, gdzie przekroczone znów koło podbiegunowe.

W poprzek Wielkiego Jeziora Niedźwiedziowego do bazy samolotowej w Norman Wells i stamtąd korytem potężnej Mackenzie (ta największa rzeka w Kanadzie ma niemal 4000 km długości) do Fortu Simpson, Fortu Nelson i — wreszcie do ostatniego punktu wyprawy — Edmonton.

Ten końcowy odcinek podróży już w maju, w pełnej wiosnie. Tu samo-

chody śnieżne zawiodły: sprzęt, który pokonał największe trudności w klimacie podbiegunowym — nie nadawał się do podróży po drogach, gdyż wznosił tumany kurzu. Ostatecznie więc załadowano maszyny na pociąg i tak dostawiono na końcową paradę w Edmonton.

WYNIKI WYPRAWY

Opracowanie wyników wyprawy i przestudiowanie poczynionych spostrzeżeń potrwa jeszcze długo. Nie wszystkie też wnioski będą podane do publicznej wiadomości. Bo jeśli np. statystyka kanadyjska nie ogłasza wydobycia uranu — trudno oczekiwać opublikowania danych, zebranych co do zasobów uranu przez biorących udział w ćwiczeniu geologów z Ministerstwa Kopalni. Ale szereg obserwacji już obecnie ogłoszonych stanowi ciekawy materiał uzupełniający wiadomości o krajach polarnych.

Rozwiązano też zadowalniająco kwestię wyżywienia w krajach arktycznych bez uciekania się do upolowanej zwierzyny czy też złowionych ryb. Obsada wyprawy powróciła do bazy w doskonałej formie, pomimo trzymiesięcznej diety konserwowej, uzupełnianej czasem tylko zrzuconymi przez samoloty owocami.

Najwięcej może doświadczeń dotyczyło różnych sposobów nawigacji. Bliskość bieguna magnetycznego wykluczała na pewnym odcinku wyprawy posługiwanie się busolą. Zastąpiły ją astronomia i radar. Wyprawa była przez cały czas w kontakcie radiowym z bazami lotniczymi a zrzuć żywności i paliwa odbyły się bez większych strat. Ogółem „Dakoty” dostarczyły 100 ton zaopatrzenia czy to za pomocą zrzuć spadochronowych czy na szybowcach.

Całe ćwiczenie odbywało się na obszarach, stanowiących wnętrze Kanady, nie na jej pograniczu. To też najciekawsze doświadczenia dotyczą współdziałania lotnictwa z oddziałami lądowymi, znajdującymi się z dala od brzegów, z dala od jakiegokolwiek innej możliwości zaopatrzenia i uzupełnienia zapasów i sprzętu — w warunkach ciężkiej zimy polarnej. Te doświadczenia nie będą wyłączną tajemnicą kanadyjską, gdyż w ćwiczeniu brał udział przedstawiciel Stanów Zjednoczonych.

PYTANIA I ODPOWIEDZI

I na tym tle samo ćwiczenie i jego ujawnione czy nieogłoszone wyniki nabierają szczególnego znaczenia.

Mimowoli niemal nasuwa się pytanie: Jaki jest istotny cel ćwiczenia? Zapewny czy obronny? Czy chodzi o przestudiowanie możliwości obrony ogromnego kontynentu północno-ame-

rykańskiego przed jakąś inwazją — grożącą z zewnątrz, może od strony jakiegoś państwa europejskiego, jak niedawno przestrzegali premier prowincji Ontario George Drew? Czy chodzi o zbadanie możliwości uderzenia na inny kontynent od strony Arktydy, gdyby zaszła tego potrzeba?

Nie próbując dociec wszystkich tajemnic polityki kanadyjskiego Ministerstwa Obrony Narodowej, ani nawet nie zakładając niewątpliwej chyba pokojowości społeczeństwa kanadyjskiego — można znaleźć odpowiedź na to pytanie. Nie trudno odgadnąć, o jakim to europejskim państwie myślał polityk kanadyjski, przestrzegając przed możliwością inwazji od północy. Przecież nie Norwegia, nie Szwecja ani nie wyczerpana zupełnie przegrana wojną — Finlandia może być napastnikiem. Zostaje tylko Związek Sowiecki. To państwo, które pierwsze zorientowało się w bogactwach obszarów podbiegunowych i wyprzedziło inne kraje w badaniu Arktydy. To państwo, które już trzy razy walczyło w strefie niekończącej się nocy polarnej. Związek Sowiecki nie lekceważył niebezpieczeństwa „interwencji kapitalistycznej” od północy.

Rosjanie mieli w ogóle poczucie niebezpieczeństwa tego odsłoniętego skrzydła od bardzo dawna. Jeśli nie od 1553, kiedy to Angliki dobyli do ujścia Dżwiny północnej i tam założyli swoje handlowe faktorie, to na pewno od czasu pierwszego blokady Morza Białego przez W. Brytanię, podczas Wojny Krymskiej. W okresie pierwszej wojny światowej Murmańsk, niezamierzający port Północy — był jedy- nym oknem na sprzymierzoną z Rosją zachód. A brytyjsko-kanadyjskie lądowanie w Murmańsku w dniu 2-go sierpnia 1918 musiało stanowić dla Rosji Sowieckiej widome ostrzeżenie.

Związek Sowiecki nie zbagatelizował tego, ale rozpoczął na szeroką skalę zakrojone badania krajów podbiegunowych. Niepowodzenie wyprawy balonowej włoskiego generała Nobile otworzyło wszystkim oczy na opanowanie przez Rosjan techniki żeglugi i komunikacji podbiegunowej. Sowiecki łamacz lodów dotarł do rozbitków i wyratował ich. Nobile wkrótce przeszedł do służby sowieckiej, jako inżynier.

Każdy rok w dwudziestoleciu między wojnami zaczął postępy Rosji na Dalekiej Północy. Stacje meteorologiczne wysunięto niemal pod sam biegun, wyszkolono kadry żeglarzy i lotników polarnych. Wybudowano szereg miast nad brzegiem Oceanu Lodowatego, i uruchomiono komunikację morską od Murmańska i Archangielska aż do dalekich portów syberyjskich. Sowiecka Republika Jakucka jest całkowicie objęta „blackoutem”. Nie dopuszcza się tam w ogóle żadnych cudzoziemców.

Z rozwojem żeglugi podbiegunowej powietrznej i morskiej poszła w parze rozbudowa sieci kolejowej. Dzięki pierwszej wojnie światowej uzyskał Murmańsk połączenie kolejowe z Lenin-gradem, uzupełnione kolejją Archangielsk-Leningrad. Obok transsyberyjskiej kolei jest obecnie w budowie druga magistrala, biegnąca znacznie bardziej na północ właśnie przez Kraj Jakutów. Miliony zesłańców politycznych pracowali nad budową kanału, łączącego Morze Białe z rosyjską siecią. A zaraz w pierwszych latach po rewolucji, Sowiety rozciągnęły suwerenność na cały obszar od północnych brzegów Rosji aż po biegun. Rosja nie zaniedbała krajów podbiegunowych.

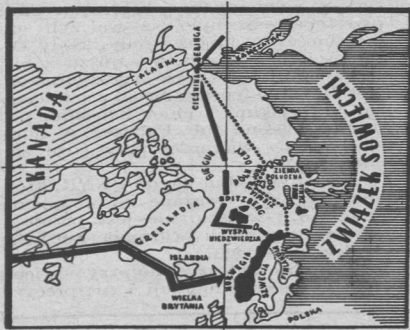
WNIOSKI

Na tle tej ekspansji sowieckiej ku biegunowi ćwiczenie „Pizmo” czy „Eskimos” nabiera znaczenia zdecydowanie obronnego. Nie z Kanady mogą wyjść plany podboju sąsiednich przestrzeni polarnych, nie z Kanady wyjdzie zagrożenie powstających na Syberii miast polarnych. Przeciwnie — Kanada szuka na nieprzemierzonych śnieżnych pustyniach Terytorium Północno-Zachodniego zabezpieczenia swoich złoto- i urano-dajnych złóż, swojego przemysłu a w dalszym ciągu zabezpieczenia całego kontynentu północno-amerykańskiego przed uderzeniem, które może nadejść. Ćwiczenie nie jest wymierzone przeciwko nikomu.

Dało wyniki pierwszorzędne dla wzbogacenia wiedzy o krajach polarnych, lecz jednocześnie stwierdziło możliwość utrzymania małego, ale bardzo lotnego oddziału w warunkach polarnych w szybkim ruchu — tylko przy zaopatrzeniu z powietrza. Dało dowody, że nowoczesny sprzęt nie tylko pozwala na pokonanie ogromnych przestrzeni bezludnych i pustynnych, lecz na budowę polarnych lotnisk, z których mogą działać także i cięższe bombowce o zasięgu dziś już dużym i stale wzrastającym. Bombowce, w których zasięgu mogą się znaleźć nawet w głębi innych kontynentów przygotowywane narzędzia ewentualnej agresji.

Ćwiczenie „Pizmo” wskazało sposoby zabezpieczenia północnego skrzydła wielkich demokracji zachod- nych.

SPRAWA SPITZBERGU



LEGENDA:
 Kierunek baz Stanów Zjednoczonych
 Obecna linia obrony północnych wybrzeży Związku Sowieckiego
 Ta sama linia po ewentualnym obsadzeniu baz na Spitzbergu

Znaczenie obszarów arktycznych w ewentualnym konflikcie między Zachodem a Wschodem

Stockholm, w lutym 1947 r.

Zagadnienie Spitzbergu w chwili obecnej określa trzy względy: istotny, prawny i pozorny.

Pierwszy wynika z położenia tych wysp, zamykających od zachodu wjazd na Pn. Ocean Lodowaty, ściślej: do niezamierzających portów Petsamo, Murmańska i Archangielska oraz na rosyjskie wody północne. Usadówienie się Sowieców na Spitzbergu przesunęłoby obronę ich wybrzeży z linii: Cieśnina Beringa — Ziemia Północna, Ziemia Franciszka Józefa — Nowa Ziemia — Petsamo — Murmańsk, na linię: Cieśnina Beringa — Biegun Północny — Spitzberg — Wyspa Niedźwiedzia (Björnön) Hammerfest.

Hammerfest jest najdalej na północ wysuniętym portem norweskim, odległym około 1.000 klm. od Spitzbergu; nie jest wykluczone, że propozycje sowieckie dotyczyły w ogóle norweskich portów północnych. Ofensywnie biorąc, Spitzberg, a zwłaszcza Wyspa Niedźwiedzia specjalnie nadająca się do założenia lotnisk, zagrażałaby i Grenlandii i Islandii, w dalszym zaś rzucie Kanadzie, Stanom Zjednoczonym, Wielkiej Brytanii i samej Norwegii. Cała Skandynawia stałaby się właściwie strategicznie otoczona.

Zmiana art. 9 Konwencji Paryskiej z 9.II.1920 roku, zabraniającego Nor-

wegii zakładania, lub zezwalania in- nemu mocarstwu na założenie baz — stanowi stroną formalną zagadnienia. Postawienie przez Związek Sowiecki, w oficjalnym komunikacie „Tass’a” z 14 stycznia b.r., absurdalnej zresztą tezy, że konwencja przestała obowiązywać wobec tego, iż została podpisana również przez b. państwa nieprzyjacielskie — wydaje się być typowym chwytym dyplomacji sowieckiej, obliczonym na wytargowanie czegoś w przyszłości. Tym samym jest określenie w tym komunikacie „Wyspy Niedźwiedziej”, jako „właściwie rosyjskiej”, co w pewnych warunkach mogłoby posłużyć za pretekst do jej obsadzenia.

Ani Wielka Brytania ani Stany Zjednoczone nie zajęły w sprawie baz na Spitzbergu oficjalnego stanowiska, chwilowo ograniczając się do wypowiedzi rzeczników swych urzędów zagranicznych. Sądząc z głosów prasowych, Anglia zastrzegła się jedynie przeciw przeprowadzaniu jakiegokolwiek zmian w formie dwustronnego układu sowieckiego-norweskiego, żądając porozumienia z wszystkimi sygnatariuszami konwencji, za wyjątkiem b. państw nieprzyjacielskich. Prasa amerykańska natomiast zajęła wyraźnie negatywne stanowisko.

W istocie jednak stanowiska obu mocarstw anglosaskich są całkowicie

zbieżne — chodzi im o niedopuszczenie do zainstalowania się Sowieców na Spitzbergu.

Pozorne wględy to wysunięta przez komunikat sowiecki sprawa (zresztą pierwszorzędna) węgla. Wydobycie roczne wyniosło przed wojną około 600 tys. tonn, z czego 2/3 przypadało na kopalnie w koncesji sowieckiej, a więc ilość drobna w stosunku do ogólnego spożycia ZSRR. Szwedzi również mieli koncesję węglową na Spitzbergu od 1917-1934 roku. Mało istotne jest też powoływanie się na „starowierów”, po których kolonii” założonej w XVII wieku, zostały jakieś ruiny. Holendrzy w tym stuleciu również mieli na Spitzbergu wytopialnię trąnu.

W czasie wojny, w sierpniu 1941 r. zamieszkał na wyspach Norwedzy i Rosjanie zostali ewakuowani przez flotę sprzymierzonych. W rok potem wróciła część Norwegów dla założenia stacji meteorologicznych, a po uwolnieniu Norwegii Północnej jesienią 1944 roku powróciła reszta. Silna ilościowo ekspedycja rosyjska wyładowała na wyspach w listopadzie 1946 roku, przede wszystkim — zgodnie z ówczesnymi depeszami z Moskwy — mając za zadanie uruchomienie kopalni węgla. Zgodnie z telegraficznym zapewnieniem zwierzchnika administracji Spitzbergu z 20.I.47, otrzymanym przez Ministerstwo Handlu w Oslo, jest nieprawdą jakoby Rosjanie zabronili latem ub.r. Norwegom i w ogóle cudzoziemcom odwiedzać Barentsburg w koncesji sowieckiej.

Wiadomość taka ukazała się w jednym z pism angielskich. Jak i pogłoski o rzekomych fortyfikacjach sowieckich, ma ona być bezpodstawna.

Latem wyruszył ma na Spitzberg specjalna ekspedycja norweska dla dokonania między innymi prac kartograficznych.

Zdaje się, że sfery polityczne w Oslo chcą mimo wszystko stworzyć pewną równowagę pomiędzy amerykańskimi i sowieckimi wpływami na Pn. Oceanie Lodowatym.

Skandynawia wchodzi coraz wyraźniej w sferę konfliktu między wielkimi mocarstwami.

NORDHORN

STEFAN KOSSAK

31 marca 1939

Kulisy gwarancji brytyjskiej dla Polski

30 marca 1939, przed wieczorem, ambasador brytyjski w Warszawie Sir Howard Kennard pelen podnienia zakomunikował polskiemu ministrowi spraw zagranicznych Beckowi historyczną decyzję rządu Jego Królewskiej Mości: Rząd ten postanowił udzielić Polsce gwarancji brytyjskiej. Jeżeli Polska ją przyjmie, premier Neville Chamberlain oznajmi ją nazajutrz w Izbie Gmin.

Nie ulega wątpliwości, że Beck był zaskoczony ofertą brytyjską. Zawarcie sojuszu, który by gwarantował Polsce pomoc brytyjską w razie agresji, było od dawna celem polityki polskiej, ale do ostatniej chwili nie wskazywało, że rząd brytyjski może się zdecydować na tak zasadniczą zmianę swej polityki zagranicznej. Tradycyjnie W. Brytania unikała tego rodzaju zobowiązań w Europie, a już nigdy mowy nie było o tym, by przyjęła zobowiązania w Europie środkowo-wschodniej.

Toteż odrzucając parę dni wcześniej żądania niemieckie, dotyczące Gdańska i autostrady przez Pomorze, Polska bynajmniej nie liczyła na to, że w razie konfliktu W. Brytania przyjdzie jej z pomocą. Jeszcze na tydzień przed swą decyzją rząd brytyjski projektował jedynie konsultacje między W. Brytanią, Francją, Polską i Rosją na wypadek nowej napaści niemieckiej; była to w pierwszej chwili jedyna reakcja na zajęcie Pragi przez Hitlera. A sugestie polskie co do zawarcia układu wzajemnej pomocy, czynione w ostatnim tygodniu przed oświadczeniem Neville Chamberlain'a, pozostały bez odpowiedzi.

I oto nagle rząd brytyjski podejmował krok bez precedensu. Na podstawie oświadczenia premiera w Izbie w dniu 31 marca

„w wypadku jakiegokolwiek akcji, która by zaprzęła wypraczone niepodległości Polski i której rząd polski uważałby za rzecz żywotną przeciwstawić się przy użyciu siły sił narodowych, rząd JKM uważałby się zobowiązany udzielić rządowi polskiemu wszelkiej pomocy, do jakiej jest zdolny”

Opinia świata w pełni zdawała sobie sprawę z tego, czym jest gwarancja tego rodzaju. W parlamencie brytyjskim przywódcą opozycji Greenwood odrazu stwierdził, że słowa premiera „mogą okazać się tak doniosłe w

następstwach, jak żadne inne oświadczenie w tej Izbie w ciągu ćwierćwiecza”. W parę dni później Winston Churchill nazwał je „kamieniem milowym naszej historii”. Premier Francji Daladier na posiedzeniu gabinetu stwierdził, iż „Anglicy odtąd są gotowi uważać, że ich granica nie znajduje się już nawet na Renie, lecz na Wiśle”.

Więcej jeszcze. W Brytania nie tylko po raz pierwszy w swej historii przyjmowała tego rodzaju zobowiązania w Europie wschodniej, ale jeszcze oddawała w ręce polskich mężów stanu decyzję o pokoju i wojnie. Tekst gwarancji nie pozostawiał żadnej wątpliwości co do tego, że to Polska będzie decydowała, co stanowi zagrożenie jej niepodległości. W Brytania była zobowiązana przyjść z pomocą nie tylko w razie bezpośredniej napaści, ale również w razie akcji w Gdańsku. Wówczas jeszcze było to rzeczą bardzo ważną; z tego rodzaju agresją pośrednią, z zamachem na Gdańsk liczone się wówczas bardziej, niż z otwartą i jawną agresją na Polskę. Tak więc odtąd Warszawa miała decydować, czy W. Brytania ma obowiązek wejść do wojny.

Co skłoniło rząd brytyjski do tego rodzaju rewolucyjnej zmiany polityki zagranicznej? Dlaczego właśnie Neville Chamberlain, człowiek Monachium i appeasement'u, zdobył się na gest, którego nikt po nim nie oczekiwał?

Motywy historycznej decyzji z 31 marca wydają się dość złożone. Jak zwykle, kilka czynników zbiegło się razem, by spowodować nagły wstrząs.

Przed wszystkim brytyjska opinia publiczna domagała się całkowitej zmiany polityki zagranicznej. Do 15 marca 1939 — do chwili wejścia Niemców do Pragi — naród brytyjski był podzielony; większość opinii popierała nieścisłą politykę Monachium. Zanim sam Hitler nie zadał tej polityce śmiertelnego ciosu, deklaracja taka, jak oświadczenie z 31 marca, była nie do pomyślenia, nie tylko jeśli chodzi o Chamberlaina, ale nawet jeśli chodzi o opozycję. Społeczeństwo nie rozumiałoby jej. Im jednak silniejsze były uprzednie złudzenia, że Monachium

zapewniło pokój i że Hitler rzeczywiście traktuje Sudety jako swe ostatnie żądanie i że nie chce zagarniać ziem nie-niemieckich, tym gwałtowniejsza była teraz reakcja na najnowszą zbrodnię Hitlera. O kontynuowaniu polityki appeasement'u nie mogło być mowy.

Neville Chamberlain oczywiście nie przedzierzał się z dnia na dzień z człowieka pokoju w człowieka wojny. Również i po wejściu Niemców do Pragi nie zwątpił w możliwość utrzymania pokoju. Bynajmniej! Natomiast doszedł do wniosku, że należy — i można — ratować pokój innymi sposobami. Skoro nie zapewnili go ustępstwa, może zapewni go stanowczość? W roku 1914 wojna stała się nieunikniona dlatego, ponieważ do ostatniej chwili stanowisko W. Brytanii było niepewne; gdyby Niemcy Wilhelma II wiedzieli, że W. Brytania nie pozostanie neutralna, nie zaryzykowałyby konfliktu. Trzeba więc upewnić się, że Hitler nie będzie miał żadnej wątpliwości co do stanowiska W. Brytanii w wypadku nowej napaści, a nie zaryzykuje wojny, która by była powszechna.

Neville Chamberlain nie odrazu doszedł do tego wniosku. Jeszcze nazajutrz po zajęciu Pragi próbował upierać się przy dotychczasowej polityce. W dwa dni po tym wydarzeniu, a na dwa tygodnie przed udzieleniem gwarancji, Chamberlain wygłosił mowę w Birmingham, w której oświadczył:

„Nie zamierzam przyjąć w imieniu tego kraju nowych nieokreślonych zobowiązań na okoliczności, które nie dają się przewidzieć”

Oświadczenie to zdawało się wykluczać właśnie takie nowe zobowiązanie, jakim była gwarancja dla Polski. Jednakże opinia publiczna żądała zdecydowanej zmiany. Parlament kłapał. Rząd zmuszony był działać.

Do tego doszły nagle alarmy wojenne w ostatnich dniach marca. W tygodniu po wkroczeniu wojsk niemieckich do Pragi nastąpiło zajęcie Kłajpedy; niemiecka machina wojkowa była puszczona w ruch i na tym tle wszelkie pogłoski o planowanych nowych posunięciach wydawały się praw-

dopodobne. W szczególności rozeszły się pogłoski, że Niemcy zamierzają natychmiast, bez żadnej zwłoki, przystąpić do „załatwienia” sprawy Gdańska. W związku z okupacją Kłajpedy flota niemiecka demonstrowała na Bałtyku, można było sobie wyobrazić, że nagle zawita do Gdańska. Z pogranicza polsko-niemieckiego były sygnalizowane ruchy wojsk.

Wszystko to razem sprawiło, że gdy w ostatnich dniach marca do Londynu nadeszły wiadomości, zapowiadające nagły atak niemiecki na Polskę, prasa i parlament potraktowały je bardzo serio. Przyczyniły się one niewątpliwie walnie do decyzji udzielenia Polsce gwarancji — celem nastraszenia Hitlera. Oświadczenie Chamberlaina z 31 marca wprost nawiązywało do tych pogłosek.

Pogłoski te były jednak nieprawdziwe. Co najwyżej istnieje możliwość, że hitlerowski Gauleiter Gdańska, osławiony Förster, planował na własną rękę dokonanie puczu w Wolnym Mieście; miał on wedle pierwotnych zamiarów nastąpić 29 marca, ale został zawczasu odwołany. W każdym razie o napaści na Polskę nie było jeszcze w tym czasie mowy. Nawet decyzja wojowania z Polską jeszcze ostatecznie nie zapadła, nie mówiąc o wyznaczeniu formalnego terminu.

Z dokumentów ogłoszonych w Norymberdze wiemy dziś dokładnie, jak w tym czasie rozwijały się plany niemieckie.

25 marca gen. Keitel odbył konferencję z Hitlerem, po której notował to, co mu powiedział Führer:

„L. (ambasador Lipski) powraca z Warszawy 26 marca. Proszono go o wybadanie, czy Polska gotowa jest dojsz do porozumienia z Niemcami na temat Gdańska. Führer opuścił Berlin w nocy 25 marca, ponieważ nie chce być obecny, gdy L. wróci. Ribbentrop ma z początku prowadzić rokowania. Führer nie chce jednak rozwiązywać problemu Gdańska siłą. Nie chciałby on w ten sposób wpędzać Polski w ramiona W. Brytanii.”

„Chwilowo Führer nie zamierza rozwiązywać sprawy polskiej. Niemniej jednak trzeba obecnie pracować nad nią. Rozwiązanie w bliskiej przyszłości musiałoby się opierać na szczególnie korzystnych okolicznościach. W tym wypadku Polska zostanie rozgromiona tak gruntownie, że nie będzie trzeba brać jej w rachubę jako czynnika politycznego na przeciwną jej stronę. Führer ma na myśli linię graniczną od wschodniej granicy Prus Wschodnich do wschodniego cypła Górnego Śląska. Ewakuacja i przesiedlenie są sprawami nadal otwartymi. Führer nie

pragnie iść na Ukrainę. Być może istnieje możliwość stworzenia państwa ukraińskiego. Ale te kwestie również pozostają otwarte”

Trudno jest powiedzieć, co wówczas Hitler naprawdę myślał. Z jednej strony wypierał się zamiaru agresji, z drugiej — snuł już wtedy plany podziału Polski, które wprowadził w życie w tajnym układzie z Sowietami z 23 sierpnia; istotnie pierwotny podział nastąpił niemal dokładnie wedle linii od wschodniej granicy Prus Wschodnich do Górnego Śląska. W każdym razie nie było jeszcze mowy o akcji zbrojnej.

26 marca odbyła się rozmowa amb. Lipskiego z Ribbentropem, po której w Berlinie musieli przysnąć złudzenia na temat pokojowego załatwienia sprawy Gdańska. Odtąd Hitler wiedział, że zajęcie Gdańska to wojna z Polską. W pięć dni później, na podstawie deklaracji Chamberlaina, zarysowała się groźba, że byłaby to zarazem wojna z W. Brytanią i Francją. Z tą chwilą też niemieckie czynniki wojskowe przystępują do przygotowania kampanii z Polską.

Pierwsze dyrektywy zostały, jak się zdaje, wydane 3 kwietnia 1939. Podpisane przez Keitel'a głoszą one m.in.:

„Przygotowania muszą być prowadzone w taki sposób, by operacja (przeciw Polsce) mogła być podjęta każdej chwili, począwszy od 1 września 1939”

Tak więc już wówczas ustalony był termin, który miał okazać się terminem ostatecznym...

Fakty te pozwalają stwierdzić, że marcowe aliny wojenne były fałszywe. Gwarancja zrodzona na tle paniki, udzielona pośpiesznie i bez wstępnego przemyślenia, w znacznym mierze ze względu na wewnętrzno-politycznych, nie mogła sama w sobie gruntownie zmienić sytuacji. A przy tym szereg czynników miał następnie wartość zarówno tej gwarancji, jak i sojuszu, który z czasem zajął miejsce wzajemnych gwarancji, osłabił.

Po prostu było już w tym czasie, w roku 1939, za p.żno na zatrzymanie Hitlera samymi tylko groźbami, że W. Brytania będzie walczyła.

ALEKSANDER BREGMAN

Polska pod okupacją: dokoła „amnestii“

DIWNA AMNESTIA

Ogłoszona przez reżim warszawski „Ustawa o amnestii” (Dziennik Ustaw nr. 20 z dnia 25 lutego br.) jest czymś paradoksalnym, rzadko kiedy spotykamy, a może nawet wprawdastwie naprawdą europejskim nie do pomyślenia.

Samo słowo: amnestia (z greckiego „amnestia” — zapomnienie) oznacza zapomnienie, wyzamanie raz na zawsze przeszłości przestępczej danej jednostki i zaprzestanie jakiegokolwiek nacisków i ograniczeń jej wolności. Tymczasem amnestia warszawska jest amnestią warunkową i to z zagrożeniem sankcjami. Artykuł 19 mówi:

„W przypadku kiedy osoba skorzysta z amnestii, stosownie do przepisów art. 2, w ciągu dnia lat od czasu wejścia w życie ustawy poprzednio tego samego rodzaju przestępstwo, to Sąd wymierzając karę nie może orzec kary niższej od p.o.w.ó.j.n.e.g.o. najmniejszego ustawowego wymiaru kary przewidzianego za dane przestępstwo, nie przekraczając jednak ustawowej granicy danego rodzaju kary”

A więc za skorzystanie z amnestii grozi ewentualnie podwójna kara, a dana wolność jest tylko „tymczasowa”. I to nazywa się, że

„demokracja zwyciężając przebacza i rozprzesza, puszczając w niepamięć nawet najcięższe przestępstwa i dając dowody swej uświadomioności (z przemówień sejmowych).”

W rzeczywistości reżim pragnie tylko ujawnienia i pokajania się przeciwników oraz ujęcia ich w swe rejestry — na przyszłość.

Dalej cechą charakterystyczną tej amnestii jest mglistość i elastyczność sformułowań, pozostawiająca szerokie pole do różnego rodzaju interpretacji prokuratorów i władz bezpieczeństwa publicznego („Bezpieki”), u których należy się zgłaszać. I tak na przykład artykuł 2 ustawy o amnestii mówi, że

„puszcza się w niepamięć i przebacza przestępstwa: udziału w przestępczym związku lub porozumieniu oraz przestępstwo popełnione w granicach działalności takiego związku lub porozumienia — przez ich członków, uczestników, oraz osoby udzielające im pomocy”

Nigdzie jednak nie precyzuje się, co rozumie się przez „związek przestępczy” i o jakiego rodzaju przestępstwach myśli ustawa. W tych niedomowieniach reżim ma swój cel — daleki od szczeroci i chęci stworzenia

„jednakowego startu w życiu publicznym dla wszystkich Polaków...” („Robotnik” 23.2.47).

Gdyby amnestia przyczyniła się do pewnego choćby rozwiązania problemu „lasów” byłoby to jej jedyną chybą zaletą. W chwili bowiem obecnej wszelka walka zbrojna z reżimem jest bezcelowa i pociąga za sobą ofiary, osłabiając siły narodu.

„FASZYZACJA”

Ustawa o amnestii nie stosuje się do szeregu przestępstw m.in. do przestępców

„odpowiedzialnych za klęskę wrześniową i faszyzację życia państwowego”

według dekretu z dnia 22 stycznia 1946. Warto przy tej okazji temu dekretowi poświęcić trochę uwagi, gdyż, zdaje się, nie jest on zbyt dobrze znany na emigracji. Dekret ten stanowi potężny środek w rękach reżimu dla zwalczania jego przeciwników politycznych, a faktycznie każdego niewygodnego jako „faszysty”. Albowiem — stosownie do artykułu 1 — skazany może być każdy:

„Kto, idąc na rękę ruchowi faszyzowskiemu lub narodowo-socjalistycznemu, publicznie albo w związku z wykonywaniem urzędu lub zleconych czynności w zakresie zarządu państwowego albo reprezentacji Państwa Polskiego w stosunkach z rządem obcego państwa lub jego urzędnikami działał na szkodę Narodu lub Państwa Polskiego — przez umniejszanie lub osłabianie siły zbrojnej polskiej lub sprzymierzonej albo przez osłabianie ducha obronnego społeczeństwa — podlega karze więzienia...”

A więc jakiegokolwiek przemówienie wygłoszone publicznie przed dniem 1 września 1939 roku, nawet przez osobę niepełniącą żadnej funkcji państwowej, może być uważane za karalne, o ile reżim przypisze mu „osłabianie ducha obronnego społeczeństwa”.

Po zjeździe Koła A.K.

Sala „Białego Orła” widziała już wiele zjazdów, była świadkiem wielu wypowiedzi i dyskusji, ale tym razem gościła w swych ścianach zespół ludzi, który znaczenie odbiegał od normalnego emigracyjnego szablona. Wśród zebranych przewijały się sylfide generaliki i swe głowy starzych działaczy niepodległościowych i szare mundury żołnierskie i wyświechtane ubranka najrozmaitszego kalibru cywilów i pułocowate twarze dziewczyn i chłopców, którzy dobrze już znają zapach prochu i emocję wojennego ryzyka, ale którym daleko jeszcze do pełnoletności.

Wydać by się mogło, że atmosfera Zjazdu będzie sztywina i wymuszona, że różnice społeczne i pokoleniowe, zarysowane tak wyraźnie wśród zebranych, przekreśla możliwość swobodnej wypowiedzi i szczerzej dyskusji.

I oto starzy rutyniarze zjazdowi zdumieni się i nadstawili uszu, gdy w pierwszych słowach sprawozdań i dyskusji z młodych ust padło pod adresem seniorów słowo: „kolega” i bez przeszarżowania i sztuczności utrzymać się do ostatniej chwili, wprowadzając nastroj przyjaźni, szczeroci i zaufania.

Atmosfera była tak przykuwająca i serdeczna, dyskusja tak odważna i bezapelacyjna a jednocześnie pozbawiona zaczepności i uraz osobistych, że przez pełne dwa dni, do późnej nocy, sala nie mogła pomieścić Delegatów i Kolegów-Gości, nie chcących stracić niczego z

rzeczywistych wypowiedzi.

Zjazd wykazał dobitnie, że grupa AKowców, przebijająca poza granicami Kraju, wie dobrze, czego chce i zdaje sobie doskonale sprawę z przyczyn ideologicznych, które spowodowały decyzję pozostania na emigracji. W drugim dniu Zjazdu, na plenum, uchwalono obszerną deklarację ideowo programową. Podkreślono w niej między innymi: konieczność oparcia się na deklaracji Rady Jedności Narodowej z dn. 15 marca 1944 roku, która określiła postępowy i sprawiedliwy charakter ustroju społecznego i gospodarczego przyszłej Polski; nierozdzielność Ziemi Wschodnich Rzeczypospolitej z całością Jej terytorium; konieczność utrzymania odzyskanych ziem na zachodzie z granicą na Odrze i Nisie, wreszcie bezapelacyjne pierwszeństwo zagadnień krajowych i rolę emigracji, która jest służą Ojczyźnie, walczącej i nieustępliwej, ale spełniającej i niemieckiej.

W odniesieniu do zagadnień emigracyjnych Zjazd wypowiedział poglądy, że konieczne jest popołnienie do życia reprezentacji społeczeństwa wychodźczego, która by posiadała uprawnienia parlamentu, oraz wysunął inicjatywę utworzenia Skarbu Narodowego i opodatkowania na jego rzecz obywateli polskich, przebywających na emigracji.

W sprawach wewnętrzno-organizacyjnych Zjazd postanowił, że należy liczyć jedynie na własne siły, a działalność musi być rozwijana z funduszy zdobywanych

„Ramami amnestii — pisze „Życie Warszawy” — zostają objęci również ci obywatele, którzy poza granicami przebywali. Chodzi o setki tysięcy licząca l.z.w. emigrację wojskową i o osoby cywilne, pozostające na terenie Kontynentu we wszelkiego rodzaju obozach i skupiskach. Żołnierze przestali wierzyć głupim i naiwnym bajkom. Chęć wyrość. Muszą jednak pokonywać ogromne trudności. Amnestia jest dla tych wielu tysięcy szczęśliwą sposobnością do przełamania dotychczasowych oporów...”

Ani ustawa o amnestii ani prasa reżimowa nie precyzuje jednak, jakie to „przestępstwa” popełniło „wiele tysięcy żołnierzy na emigracji”. Czyż przestępstwem było, iż walczyli oni o wolność Polski już wtedy, kiedy komuniści byli jeszcze w sojuszu z hitlerowcami? Czy może przestępstwem jest fakt koleżeństwa broni z żołnierzami brytyjskimi i amerykańskimi pod Monte Cassino lub Falaise? A może dochowanie wierności przysiędze żołnierskiej?

Nawet zapisanie się do PKPR, które mogłoby być uważane za wstąpienie do obcego wojska, nie jest przestępstwem z punktu widzenia polskiego kodeksu karnego.

Tak więc te wszystkie przymównienia pod adresem emigracji i niesprecyzo-

wane sugestie łączone rozmyślnie z amnestią mają jedynie na celu doraźne interesy reżimu. Chce on utrzymać stan niepewności tych, którzy wahają się z powrotem lub zachwiał tych, którzy decydują się na czasowe pozostanie na emigracji, a przez to rozbić emigrację w ogóle. Również przez stwarzanie pozorów normalizacji stosunków i niekudusności, chce on utrudnić nasze tu pozostawanie.

Reżimowi zależy jedynie, by emigracja walcząca o niepodległość Polski jak najszybciej znalazła się pod jego „opieką”, stąd też artykuł 2,§2 nakazuje, że każdy, kto skorzysta z amnestii musi:

„...w terminie przez przedstawicielstwo Państwa Polskiego za granicą określonym powrócić do kraju i w ciągu miesiąca od daty powrotu złożyć władzy bezpieczeństwa publicznego dowód zgłoszenia się do przedstawicielstwa”

A więc oddanie się pod „opiekę” „Bezpieki”.

WIDOKI REŻIMU

Rozbiór treści ustawy o amnestii, przemówienia ludzi reżimu oraz sposób wykonywania jej świadczą dobitnie, jakie cele miał reżim warszawski. Z jednej strony — wobec zagranicy — chodziło mu o zatarcie wrażeń, jakie zrobił terror przedwyborczy i fałszerstwa wyborcze oraz o wywołanie złudzenia stabilizacji stosunków i siły reżimu wśród społeczeństwa.

Z drugiej strony — wobec Polaków — reżim chce przez amnestię wywołać nowe złudne nadzieje w rodzaju: „a może jednak teraz będzie można spokojnie i bezpiecznie żyć” oraz skłonić opozycję do ujawnienia się, by ją rozbić i zniweczyć, jak to miało miejsce z PSL.

Nie jest to pierwsza amnestia reżimu warszawskiego. Była już jedna w sierpniu 1945. Wielu, którzy z niej skorzystali, ujawniając się — zwłaszcza z Armii Krajowej — przypłaciło to potem utratą wolności, o ile nie życia. Nie nie wskazuje na to, by obecnie było lepiej z wykonaniem tej amnestii, która jest w rękach „Bezpieki”. Polska jest państwem policyjnym, w którym nikt nie ma pewności bezpieczeństwa osobistego, ale zdany jest na wszechwładzę władz bezpieczeństwa.

Nikogo na emigracji nie potrzeba namawiać do powrotu lub pozostania. Każdy wie, co go tu czeka. Każdy też zna swoje obowiązki. Jeśli ktoś ma zaufanie do obietnic dawanych przez reżim pochodzący z laski Rosji i sfalszowanych wyborów i przekonany jest, że reżim ten dotrzyma słowa, ten niech szybko wraca, ale... po przeczytaniu ustawy o amnestii w pełnym brzmieniu.

JÓZEF GARLIŃSKI

TADEUSZ NALER

O przyszły szpital polski

Na skutek likwidacji szpitala im. Paderewskiego w Edynburgu, znika z widowni jedyny szpital dla cywilnych Polaków, jaki dotychczas na tutejszym terenie pracował. Szpital ten jedzie do Polski.

Nikt nie ośmieliłby się przeciwko tej decyzji protestować, gdyby nie fakt, że budynek szpitalny, łóżka, pościel, personel pomocniczy — wszystko to dostarczone było przez Szkotów. I gdyby nie fakt, że w szpitalu przygotowywanych do wyjazdu do Polski leży ekipunek szpitalny bez porównania większy, aniżeli ten, który ma „Paderewski”. Skrzynie te, z niewiadomych powodów walają się od dwu lat po składach, marnując 400 łóżek, materacy i pościeli, udaremniając pracę zestawów rentgenologicznych, dentystrycznych i innych, które tam, nierozpakowane i nieużywane spoczywają.

Zwija się przeto placówka, przez którą tyłu ludzi przeszło i dzięki której tyłu polskich wędrowców i polskich żołnierzy odzyskało zdrowie. Protestując przeciwko tej likwidacji, społeczeństwo polskie w Szkocji zażądało jednocześnie, by zestaw szpitalny dawno czekający na ekspedycję był natychmiast wysłany do kraju. Nie stało się to jeszcze dotychczas.

Ogromna większość lekarzy dawnego szpitala Paderewskiego zostaje. Uważa, że powrót do Polski dzisiaj równałby się przekreśleniu nadziei na niepodległość, równałby się także podporządkowaniu obecnemu reżimowi. W tych warunkach rozumiejąc potrzebę tysięcy rzeszy polskich w Wielkiej Brytanii, rzeszy składających się dzisiaj z kobiet i dzieci, rodzin żołnierzy, postanowiono za wszelką cenę dążyć do utrzymania placówki szpitalnej.

Władze brytyjskie okazały dla tego projektu duże zrozumienie. I już w tej chwili, jeszcze przed datą zamknięcia szpitala w Edynburgu, są szanse na to, że skrzydło brytyjskiego szpitala w Ayrshire (Szkocja) zostanie oddane do naszej dyspozycji. Warunek stanowi obsadzenie tego skrzydła całkowicie personelem własnym. Pacjenci-Polacy mają korzystać z opieki lekar-

skiej polskiej. O te dwie grupy ludzi nie trudno. Natomiast jest brak siostr, pielęgniarek i posługaczek. Bez tego personelu szpital nie ruszy.

Polskie władze opiekuńcze, przeprowadzające rozmowy ze szkockimi przedstawicielami służby zdrowia, podjęły się już wypełnienia tego warunku samowystarczalności. Ze wszech miar zresztą jest to pożądanym, jako że w szpitalu czysto polskim każdy czuć się będzie lepiej i swobodniej, aniżeli w mieszanym. Przy tym brak rąk do pracy wśród Brytyjczyków wyklucza jakakolwiek pomoc. Obok szpitala istnieje szkoła pielęgniarek udostępniona wszystkim siostrom polskim, które w skrzydło polskim będą pracować. Ukończenie tej szkoły daje perspektywy niezależności materialnej na przyszłość.

Od zgłoszeń kobiet polskich na objęcie posad siostr, pielęgniarek i sprzątaczek należy więc uruchomienie szpitala. Pisać należy do p. W. Dobrzańskiej, 13, Glencairn Crescent, Edynburgh. I to pisać zaraz. Inaczej plany szpitala własnego zostaną tylko planami.

ZYGMUNT NAGÓRSKI, jr.

WYDAWNICTWA

STOWARZYSZENIA PISARZY POLSKICH

- ADAM MICKIEWICZ : Poezje wybrane, przedmowa Jana Lechonia, wybór Wiktoru Weintrauba - 7/6
- BOLESŁAW PRUS : Nowele warszawskie, przedmowa Wacława Grubińskiego, wybór i postłowa Marii Danilewiczowej - 12/6
- KAZIMIERZ WIERZYŃSKI : Krzyże i miecze - 6/6
- MARIAN HEMAR : Lata londyńskie - 4/6
- TYMON TERLECKI : Polska a Zachód. Próba syntezy - 3/-

Skład główny: „Nowele warszawskie” — „Vistula”, 45 Cromwell Road, London, S.W.7
inne książki — „Orbis”, 38, Knightsbridge, London, S.W.1

Z nowych książek

„Rzecz na biały arkusz mapy świetlnej punktyki zbliżyły się ku sobie wolnym, ciągłym posuwem. Admiral raz jeszcze rozwarciem cyrka porównał ich odległość i odłożył na ramię mapy. Za trzy godziny jego własna i nieprzyjacielska floty znajdą się we wzajemnym zasięgu szesnastocichowych dział...”

Oto dwa wyjątki z książki J. Bartosika: „Wierny okręt”, książki o której bez żadnej przesady powiedzieć można, że jest najciekawszą i najlepszą książką, jaką kiedykolwiek Polak o prawdziwym morzu i prawdziwych okrętach napisał. Książka pozbawiona patosu, a właśnie chwytająca za serce. Książka napisana prosto i bezpretensjonalnie, może z pewnymi usterkami w stylu czy formie, ale tak plastycznie, że czytając ją widzi się jak na dłoni to, co autor opisuje. Świetne ilustracje Horowicza dodają jeszcze owej plastyki, tak że całość przesuwa się przed wyobraźnią czytelnika, jak wstęga kinematografu.

Kilku wybitnych autorów pisało na *) Józef Bartosik: „Wierny okręt”. Orbis — London 1947.

obczyźnie o morzu i okrętach. Jeden z nich był nawet w marynarce handlowej, ale niepotrzebnie dolewał do swoich świetnych opowiadań sosu radykalnej demagogii [może mu to z wiekiem przejdzie, bo szkoda byłoby talentu]. Inni, albo nie byli marynarzami i na wojnę morską patrzyli z boku, oczyma widza, albo nie potrafili rozwinąć swej myśli w drukowane słowo i nadać jej formy plastycznej, w której Bartosik celuje. Tak czy inaczej, mamy nareszcie dobrą książkę o prawdziwych walekach polskiej marynarki wojennej.

Autor nie patrzył na morze z boku. Był oficerem artylerii na polskich kontrtorpedowcach. Pływał, walczył, był ranny, przeszedł wszystkie kampanie, od krańców Śródziemnomorza poprzez Atlantyk aż po daleki Archangielsk. To, co nam opowiada, to nie fantazja, ale prawda. A poza tym z każdego słowa przebija isticie conradowska miłość do swego okrętu i do ludzi na nim walczących.

Nie brak Bartosikowi też zmysłu humoru. Historia o tym, jak grupa oficerów polskich przybyła wieczorem (na obiad) na niewłaściwy okręt brytyjski, wzbudzi napewno sporo śmiechu. A momenty tragiczne nie są nacechowane tak właściwą Polakom nutą ponurej beznadziejności. Książkę czyta się lekko, choć jest poważna. I zostaje po niej nie posmak smutku czy chęć krytyki, ale lepszą przyszłość. Przecież ludzie, którzy tyle dokonali, nie ugną się przed losem, nie załamają w obliczu niepowodzenia. Przeciwnie — walczyć będą dalej, jak ten, opisany w książce, brytyjski komandor, co mając powierzone sobie kulawy konwoj, wdał się w walkę z sześcioma krążownikami i kilkoma eskadrami samolotów, choć dysponował tylko jednym starym krążownikiem i czterema małymi eskortowcami. I zwyciężył.

To też w takiej chwili, jak obecna, książka Bartosika jest szczególnie pożyteczna. Wśród otaczających nas chmur smutku i niepewności, przynosi nam tężowy przeżytek zwycięstwa.

JULIAN GINSBERT

ZRZESZENIE PRZYJACIÓŁ POLSKIEGO ŻOŁNIERZA

Koła, Centra, Zarząd Główny i Placówki Stowarzyszenia Weteranów Armii Polskiej, współpracujących z Zrzeszeniem PPZ ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej —

JAK NAJSERDECZNIEJ ŻYCZĄ WSZYSTKIM POLSKIM ŻOŁNIERZOM, KTÓRZY GDZIEKOLWIEK ZNAJDUJĄ SIĘ —

WESOŁEGO ALLELUJA — aby Wszchemogący Stwórca ulżył ich cierpieniom . . . by znów poczuli się szczęśliwi!

NAJSZYBSZA WYSYŁKA PACZEK DO POLSKI ŻYWNOŚĆ:

- Paczka „CP1”: 1 i pół funta kawy, 2 funty jamu, 1 funt rodzynków, jednofuntowa puszka konserwy mięsnej, jednofuntowa puszka szynki, jednofuntowa puszka galaretki konfiturowej, 2 funty marmelady, jednofuntowa puszka mieszanek odżywczej, 2 funty suszonych owoców **Cena £3.15.0**
- Paczka „CP2”: 4 funty cukierków mieszanych, trzyfuntowa tabliczka czekolady .. **Cena £3.3.0**
- Paczka „CP5”: pół funta kawy, jednofuntowa puszka konserwy mięsnej, dwufuntowa puszka jamu, jednofuntowa puszka cielęciny, 2 funty suszonych owoców, 2 puszki galaretki konfiturowej, 2 funty mieszanek czekoladowo-owocowej, 1 funt cukierków, 1 funt czekolady **Cena £4.12.0**

PENICILLINA:

- Paczka „L1”: Penicilina: ok. 2 milionów jedn. w proszku, w maściach, w tabletkach .. **Cena £2.12.0**
- Paczka „L2”: Penicilina: ok. 3 milionów jedn. na zawiesznie olejistej, w maściach, w tabletkach .. **Cena £4.12.0**

Oraz 15 standaryzowanych paczek na różne schorzenia.

Zamówienia wraz z pełną opłatą należności (w gotówce, Postal Orders, Money Orders lub czekiem) kierować prosimy pod adresem Firmy:

WORLD COMMODITIES TRUST CO., LTD.
10, Hans Crescent, London, S.W.

KOMUNIKAT PACZKI DO KRAJU

Delegatura P.C.K. w Londynie, 96, Eaton Place, S.W.1.
Tel: SLO-5461

wysyła do Kraju następujące rodzaje paczek.

- I. Paczki z papierosami Typ „P” 200 sztuk .. **cena £0.16.6**
- II. Paczki lecznicze :
Typ „A” dla dorosłych (leki ogólnie wzmacniające szczególnie serce, system nerwowy, przewod pokarmowy, wiatrobój itd.) .. **cena £2.3.0**
Typ „B” dla dzieci (zawiera witaminy, odżywkę i leki) .. **cena £2.5.0**
Typ „C” dla kobiet .. **cena £2.8.0**
- Prospekty na żądanie
- Ponadto Delegatura wysyła na zamówienie paczki specjalne, zwłaszcza z Penicilliną. Paczki te wymagają podania wieku i choroby adresata, celem dobierania odpowiednich lekarstw.
Załączone w każdej paczce wskazówki pozwalają na zażywanie leków bez porady lekarza.
- III. Pościelowe paczki standartowe
Typ „E” zawiera: 1 koc, 2 prześcieradła, 2 poszewki, 2 ręczniki .. **cena £3.10.0**
- IV. Paczki z obuwiem, zawierające nowe artykuły, wszystkich rozmiarów
Typ „M” dla mężczyzn zawiera 1 parę butów .. **£2. 0.0**
Typ „R” dla .. **£1.12.0**
Typ „S” dla dzieci od 3 do 8 lat 1 p. bucików .. **£1. 0.0**
Typ „T” .. 9 „ 15 „ 1 p. bucików .. **£1. 5.0**
Typ „U” dla kobiet zawiera 1 parę bucików .. **£1.12.0**

Przy zamawianiu paczek należy podać wiek dziecka wzgl. rozmiar zamawianych artykułów.

Wszystkie paczki wysyłane są do Zarządu Głównego PCK w Warszawie (ul. Nowogrodzka 49 „Roma”), skąd rozsyłane są środkami PCK do jego oddziałów prowincjonalnych i doręczane adresatom za pokwitowaniem. Pokwitowania te są zwracane Delegaturze, która odsyła je nadawcom. Niezależnie od tego Polskie Radio w Warszawie podaje w poniedziałki, środy i piątki na krótkich falach 49.06 godz. 20. 20-30 specjalne audycje z nazwiskami osób, które otrzymały paczki.

EDYNBURG KSIĘGARNIA POLSKA „CO SŁYCHAĆ”

2, Drumsheugh Place. Tel. 21712 (obok Kościoła Polskiego)

- Poleca w wielkim wyborze podręczniki szkolne i techniczne:
- Technik — 3 tomy .. 40/-
 - Radiotechnika, Tom I .. 20/-
 - Kalendarz techniczny dla techników i kreślarzy .. 18/-
 - Kalendarz budowlany, 3 tomy po .. 12/-
 - Kalendarz drogowy .. 12/-
 - Tablice i wzory matematyczne .. 7/-
 - Obsługa i naprawa samochodów .. 15/-
 - Elektrotechnika Szyfmana .. 15/-
 - Vade-mecum kierowcy cz. I i II .. 15/-
 - Chów drobiu .. 7/6
 - Uprawa warzyw .. 8/6
 - Hodowla zwierząt domowych 2 tomy po .. 10/6
- Na żądanie wysyłamy katalogi

Przeciwdeszczowe

Eleganckie Damskie Płaszczki z Kapturem

z materiału plastycznego w kolorach kości słoniowej, niebieskim, czerwonym, pomarańczowym, zielonym i innych, o wymiarach 40, 42, 44 i innych bez kuponów w cenie £3.0.0

Wojskowe Buciki męskie, nowe wszelkie wymiary, najlepszych wyrobów brytyjskich, bez kuponów, **Cena: £2.10.0** za parę

Łącznie z opłatą pocztową po otrzymaniu zlecenia i należności wysyła do Polski na podany adres:

ENEL INDUSTRIES

58 Jermyn St., St. James's, London, S.W.1

ŻYWNOŚĆ DO POLSKI

Typu „C1” Waga 9 lbs. **Cena £1.10.0**
zawartość: szynka 1 1/2 lb., ser śmietankowy 1 lb., miód 2 lb., tłuszcz (smalec) 2 lb., KAKAO 1 lb., KAWA 1 lb., galaretki owocowa 1/2 lb., pieprz 1/2 lb., korzenie 1/2 lb.

Typu „D” Waga 9 lbs. **Cena £1.17.0**
zawartość: miód 2 lb., KAWA 2 lb., KAKAO 2 lb., rodzynki 2 lb., pieprz 1/2 lb., korzenie 1/2 lb., cynamon 1/2 lb.

PACZKI WZMACNIAJĄCO-ODŻYWCZE

- Typ Nr. 1—MAŁA .. **Cena £1.5.0**
- Typ Nr. 2—DUŻA .. **Cena £2.7.0**
- Typ Nr. 3—DOMOWA APTECKA .. **Cena £1.5.0**

Paczki Nr. 1 i Nr. 2 zawierają witaminy, glukozę, Livogan, Halibut Oil etc.

Wszystkie paczki są ubezpieczone.

Zamówienia wraz z Money Order, Postal Order lub czekiem kierować do:

BRITISH OVERSEAS SUPPLY CO., LTD.

3a, Brookside, Headington, Oxford

Żądać prospektów

CZY MYŚLISZ O PRZYSZŁOŚCI?

KUIPECKI EGZAMIN BRYTYJSKI

Londyńskiej Izby Przemysłowej (London Chamber of Commerce)

możesz zdobyć w ciągu sześciu miesięcy, jeśli masz wolę pracy. Pisz do Polish Vocational College, Ltd., 5, Park Grove Terrace, Glasgow C.3.

LONDON AND ABROAD COMMISSION AGENCY, LTD.

zawiadamia swoich Klientów,

że biura firmy mieszczą się obecnie:

207, Knightsbridge, London, S.W.7

Tel.: KENSington 3214

Firma w dalszym ciągu wykonuje wszelkie zlecenia w pełnym zakresie.

Żądajcie naszych cenników.

NIEBYWAŁY REKORD WYGRANYCH

£1.333 wygrane dla naszego klienta w poolu penowym Vernon. £1.598 wygrane również w poolu penowym Vernon dla innego klienta.

a obecnie **£8.398**

wygraliśmy dla Mr. R. A. Bennett, Ashstead w poolu penowym firmy Sherman (18.1.47). Dowody tych wygranych na żądanie. Setki wygranych dywidend do przegladnięcia każdego czasu. Przeszło 117 klientów wygrało jednego tylko dnia 18.1.47, w tym £2.4326 za 1 sh.

SPECJALNIE OBNIŻONE HONORARIUM na £1 plus pisemne zobowiązanie się do wyplacenia nam 25 proc. od wszystkich wygranych za naszym pośrednictwem. Każdy klient bierze co tygodnia udział darmo w dodatkowej grze, za którą płaci powszechnie znana firma

T. A. D. BOUGH, (Dept. Pol.)

19, Wardour Street, London, W.1.

Założyciel tej firmy wygrał w jednym sezonie 1.129 pierwszych, drugich, trzecich czwartych dywidend. Polski tłumacz na miesięcu

Lloyds Bank

LIMITED



ZAAŁATWIA WSZELKIEGO RODZAJU CZYNNOŚCI BANKOWE

Oddziały w całej Anglii i Walii

CENTRALA: 71, LOMBARD STREET, LONDON E.C.3

BIURO INFORMACJI I PORAD

Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, chcąc ułatwić swoim członkom znalezienie odpowiedzi na szereg pytań, związanych ze staniem się w...

Informacje udzielane są bezpłatnie, natomiast załatwianie niektórych spraw może pociągnąć za sobą dodatkowe koszty (adwokat brytyjski, poświadczanie dokumentów, zakup biletów i t.p.).

15-LECIE PASTERKIE J. E. KS. ARCYBISKUPA SAWY 12 b.m. przypada 15-letnie święcie biskupich J. E. ks. arcybiskupa Sawy, prawosławnego pasterza wojskowego P.S.Z.

W hierarchii polskiej autokefalicznej Cerkwi Prawosławnej J. E. ks. Sawy jest ordynariuszem diecezji wileńsko-nowogrodzkiej. Opowiedział się za legalnym Rządem Rzeczypospolitej, od początku wojny przebywa poza krajem.

Szczególnie bliskie węzły łączą J. E. ks. arcybiskupa Sawę z autokefaliczną Cerkwią Serbską, w której łonie odbywał studia teologiczne i otrzymał święcenia.

Redakcja „Polski Walczącej” łączy się w tym dniu z życzeniami dla Najdostojniejszego Hierarchy.

KSIĄŻKI NADESLANE Jedzej Giertych: Polityka polska w dziejach Europy. Nakł. aut. Str. 453, cena 188.

Hans Lund, Holger Bejtrup i Peter Manniche: Duńskie Uniwersytety Ludowe a rozwój społeczności wiejskiej. Wyd. Polska Y.M.C.A. str. 134.

Józef Chłasiński: Młode pokolenie chłopów. Wyd. Polsk Y.M.C.A. Str. 201.

POSZUKIWANIA RODZIN Henryk CZERWENAK, ostatnie adresy: Eberach Württemberg, Straszbory, Francja, poszukiwany przez matkę, Wiktorję Czerwenak — Przemysł, Winna Góra 3.

Bronisław SĘCZKOWSKI, nauczyciel z Wileńszczyzny, wywieziony na Syberię w r. 1940, ostatni adres: Archangielsk A.226/4, poszukiwany przez żonę, Wandę Sęczkowską — Potrzeba, poczta Grabów Łęczycki, woj. Łódź.

Tadeusz GORSKI, administrator dóbr Bohdanowice, wywieziony na Syberię w r. 1939, poszukiwany przez żonę, Stanisławę Górską — Warszawa, ul. Wileńska 67 m. 5.

Stanisław KULCZYŃSKI, ur. w Stanisławowie 1910, b. pracownik Pol. Państwa, i Bolesław Kulczycki, ur. 1908, synowie Kornela i Anny, poszukiwani przez siostrę, Władysławę Warnicką — Gliwice, ul. Witkiewicza 23, woj. Katowice.

Uli, pow. Wąleka, wywieziony na Syberię, poszukiwany przez Helenę Popławską — 8040 Olympia, Detroit 13, Mich. USA.

J. zy KONCZYKOWSKI z Powstania Warszawskiego poszukiwany przez Gustawa Radwańskiego — 37, Clarendon Drive, London, S.W.15.

Kazimierz BEREZOWSKI, syn Antoniego, proszony o podanie adresu przez Helenę Popławską — 8040 Olympia, Detroit 13, Mich. USA.

Adres poszukiwanego Bolesława BARANOWSKIEGO, brata Franciszka, jest: 11176 Smiths Creek Rd., Memphis, Mich. USA.

WIELKI WYBÓR KSIĄŻEK I CZASOPISM W SZCZEGÓLNOŚCI PODRĘCZNIKI DO NAUKI ANGIELSKIEGO, SŁOWNIKI I PODRĘCZNIKI TECHNICZNE

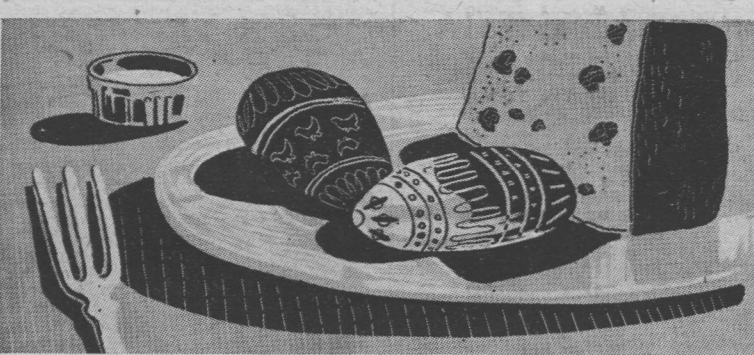
Ktokolwiek z zainteresowanych Polaków życzyłby sobie NOWY TESTAMENT lub EWANGELIĘ św. JANA (rz. kat. w miarę zapasu) w języku polskim

proszę zwrócić się do pana S. K. HINE, 110, Christchurch Road, London, S.W.2.

Najbliższy (15) numer „Polski Walczącej” ukaze się dn. 19 b.m. w objętości 6 stronik druku.

SPISY RZECZY Andrzej Pomian Downmunt: Odwaga nadziei. — Adolf Fierla: Medytacje na Wielki Tydzień. — Zygmunt Nowakowski: Powstanie! Powstajcie! — Antoni Bogusławski: Przed zmierzwiem wstaniem. — Tadeusz Nowakowski: Wesołego Janka! — Melchior Wankowicz: Od Monte Cassino do Piedmonte. — Wiesław Wolnont: Ryśka przez okupowaną Warszawę. — Jan Bielatowicz: Londyn po raz pierwszy. — Hermińska Naglerowa: Epoki książek. — Antoni Bogusławski: Jaluwice. — Stefan Kozłowski: Wyższe Piżmowce. — Nordhorn: Sprawa Spitzbergu. — Aleksander Bregman: 31 marca 1939. — Tadeusz Naler: Polska pod okupacją: dokola, „amnestii”. — Józef Garkliński: Po zjeździe Kola A.K. — Zygmunt Naglerowski: O przyszły szpital polski. — Julian Głuski: Z nowych książek. — Obywatel Żadłko: Na paczce od mydła. — Rad: Angielski od święta.

NA PACZCE OD MYDŁA...



Obywatelki i Obywateli! Zgniała emigracja i szczerą demokracją! Przyjaciele i wrogowie ludu! Faszysti i czerwono-skórzy!

Moją trybunę przemawiał mi ostatnio znajomy stolarz polski, były major z Rubensa, obecnie na praktyce rzemieślniczej. Trybuna moja będzie miała możliwość poruszania się po wodzie w kształcie gondoli i po lodzie w kształcie ślizgowca, a to wszystko ze względu na kapryśne zmiany klimatu angielskiego.

Dzisiaj przemawiam do was z gondoli, jako że woda wstąpiła do Hyde Parku. Jestem przygotowany na wszelkie ewentualności. Kupilem ostatnio okazję kilka mocnych sznurów od pewnego byłego adiutanta, żeby zabezpieczyć się przed porwaniami siłą wiatru, gdyż podobne wypadki również ostatnio notowano w Anglii kilkakrotnie.

Wy też, moi mili demokraci, powinniście poczynać w waszych myślach takie porządki wiosenne, które zabezpieczyłyby was z każdej strony. Mój kolega orator, właściciel sąsiadującej ze mną trybunki powiada, że Anglia ze zmartwienia zalała się — tym razem wodą.

Opady atmosferyczne walają się na biedną wyspę w następującej kolejności: opad uczuć dla rządu, opad prestiżu Shinwella, wiatr palestyński, blyskawica Trumanowska, grom mołotowski, grad indyjski, burza grecka, ulewa turecka i t.p.

urządzić. A wy, moi mili demokraci, czym innym jesteście — jeżeli nie waszą? Tak jest! Skupieni dookoła tej paczki od mydła, powiadam wam, jesteście wyspą wolnej myśli polskiej, wyspą obłąną dookoła burzliwymi wodami kanału P.P.R.-skiego...

Jesteście jak wyspa, dani na własne siły, bo imperium wasze mocno zagrożone. Zabrano wam bogate Indie Malo-polskie, kazano wam wycofać się z Jeruzolimy Wileńskiej, przepędzono najcenniejszych ludzi waszych z polskich Aten!

Wyspą jesteście wśród przetaczających się w brzegu bałwanów politycznych i dyplomatycznych, którzy chyżo dali się ponieść z wiatrem i popłynęli na fali kariery...

Zalana, zmrożona wyspa w tarapatkach: produkcja bohaterów spadała, produkcja legend — zamknęła fabryki, produkcja obietnic wyczerpana; produkcja ciepła narodowego i wzajemnego zrozumienia — pracuje już tylko na jednym, sztucznie podniecanym funtami, piecu.

Co zostało? Produkcja turystów na eksport do ciepłych krajów czy produkcja egoistów dla celów luksusowych? Oblężona na krótką dwuletnią metę produkcja etatowiczów czasu P.K.P.R. nie może być zaliczona do poważnego przemysłu twórczego.

Dłatego wam wbijam do głowy, moi mili demokraci, te porządki wiosenne przy świętecznej Wielkanocnej okazji —

żebyście wietrząc mózgi na słonku i wystawiając serca wasze na świeży powiew wiosny 1947 roku — uparcie pamiętali — żeście wyspą, jak Anglia i musicie mieć się na baczności! Uwaga! Przeciwnie wam trwa! Wzmocnie się na wiosnę! Macie amnestię i nostalgia. Macie gwarancję i tęsknotę. Macie tu obozy, a tam domy.

Ciekawa rzecz. Kiedy ostatnio Anglia była w tarapatkach zimowych i aprowizacyjnych, wzmógł się na wyspie tutejszy ruch Brytyjczyków w obojach konsulatach. Setki Anglików i Szkotów zdecydowały wyjechać po słońce i jedzenie na stały pobyt do Afryki, Kanady, Australii i Nowej Zelandii. W prasie brytyjskiej i w głosach opinii publicznej potępiano ten ruch, padły słowa: panika i... dezercja!

Bo nie wolno opuszczać wyspy dalego tylko, że ją zalewa powódź i tylko dlatego, że ją szarpną z wszystkich stron nieprzychylnie wiatry.

Zastanówcie się nad sensem tego zdarzenia i ostatnich przeżyć Anglii.

W związku z tym chciałem wam powiedzieć, że choć wielu z was stojących dookoła mojej paczki włożyło cywilne ubranie, to jednak żołnierzami jesteście dalej: i u y i ja. Co więcej dopiero zaczęła się największa z bitew świata: b i i w a o p r a w d e. W mowie Trumaniana znalazła początek trudna próba naprawy błędów.

Zresztą mundur nie tworzy żołnierza. Wystarczy jeśli wam przypomnę, że stary amerykański wojak general Marshall na otwarcie konferencji w Moskwie przybył w cywilnym ubraniu, natomiast — i w tym cała pikanteria — cywil — warszys Wyszyski zjawiał się... w paradnym uniformie wojskowym. Podchwycili to spryciarze amerykańscy — podchwyci i wy.

Kończąc zwracam się do was z uroczystym zawołaniem Wielkanocnym: „Wyspa Polska, nie daj się porwać wiatrom, nie daj się czerwonej wodzie, która zalewa brzegi, nie daj się bałwanom, którzy rozdają cię od środka!”

Do usłyszenia za dwa tygodnie, na tej samej paczce, o tej samej porze.

Wasz

OBYWATEL ŻADELKO

Pióra wieczne i naprawa zegarków z gwarancją. ASTE LTD. 62, Oxford Street, London, W.1. 1-sze piętro, drzwi nr. 9.

Sprzedajemy ODZIEŻ nową, używaną, oraz szjemy do miary. Prosimy odwiedzić nasz magazyn. Wielki wybór. Ceny stałe.

BRICK LANE CLOTHIERS 53, Brick Lane, London, E.1 Mówi się po polsku

HANDLOWY DYPLOM BRYTYJSKI daje możliwość uzyskania pracy! Kurs Korespondencyjny! Lekcje w jęz. polskim i angielskim! Organizujemy egzamin! The Polish Vocational College Association Ltd., 5, Park Grove Terrace, Glasgow, C.3.

ZNACZKI — tanie paczki: 200 różnych 4/6; 1000 — 20/6; 50 lotniczych 7/1; 100 lotniczych 15/6; Albumy 25/6; 1000 nalepek 1/9 włącznie z portem. Zapłać przy zamówieniu. „ZESZYTY DO WYBORU” — ze znaczkami polskimi, europejskimi, kolonialnymi przesyłamy na żądanie. Można pisać po polsku. EXCELSIOR STAMP CO., 44, Eton Hall, London, N.W.3. (Tube: „Chalk Farm”).

PAPIEROSY DO POLSKI przez INWAL, LTD., Stowarzyszenie Inwalidów 96, Eaton Place, London, S.W.1.

w paczkach po 200 sztuk tylko sh. 18/- Porównaj z cenami innych firm

Oplaty przesyłać można w gotówce lub w Postal Orderach Doręczenie gwarantowane

ALMA BOOK COMPANY LTD., Wydawnictwo i Księgarnia Wysyłkowa 52, Halton House, 20-23, Holborn, London, E.C.1. zawiadania o ukazaniu się nowości: Jedral W., Wohlmann F., Zwięzły Podręcznik Księgowości ... 9/- Jones, H., Jak Szkielet Rysunków Technicznych ... 6/- Morgulew W., Wytrzymałość Materiałów. (nowe wyd.) ... 6/-

JEDWAB SPADOCHRONOWY, ODZIEŻ — DO POLSKI a) JEDWAB SPADOCHRONOWY — odcinek materiału na uszycie 2-ch bluzyk lub 2-ch kombinacji kobiecych (wysyłka listami poleconymi) ... £1.10.0 d) NOWE KOSZULKI MĘSKIE białe, b. mocne, nr. 16 wysyłane listami poleconymi 2 sztuki ... £1.12.0 N.1. PŁASZCZ MĘSKI zimowy w wysokim gatunku ... £2.10.0 N.2. UBRANIE MĘSKIE (marnyarka i spodnie) ... £4. 5.0 N.6. PŁASZCZ JESENNY DAMSKI ... £1. 5.0 N.8. 2 KOCE ... £1.15.0 2 SPÓDNICE GRANATOWE używane w dobrym stanie ... £1.10.0

ODZIEŻ UŻYWANA BEZ KUPONÓW DO POLSKI Gdy jesteś w Londynie sam lub Twój znajomy, odwiedź nasz magazyn otwarty codziennie od g. 11 do 18,30, w soboty do g. 15,00, gdy nie możesz przyjechać, pisz, a chętnie wykonamy Twoje zlecenie. Sukienki w cenie 7/6 do £3, kostiumy d. od £1 — £4.10 płaszcz d. i męsk. od sh. 10 do — £4.10, futra d. od £2 — £10, i t.p. Nowe koszulki męskie białe, numery 16 i 16 1/2 w cenie sh. 13/6 (z przes. polec. do Polski sh. 17). Nowe koce jako materiał na płaszcz w cenie £1.3.6 (z przes. ubezp. do Polski £1.12.0). BUTY JUHTOWE z cho ewami £1.6.6 (z przesyłką ubezp. do Polski £1.15.6., LAMPERT CLOTHING SUPPLY CO., 45, Cromwell Road, London, S.W.7.

SZKOŁA HOTELARSTWA 6-mies. Kurs Koresp. (Żądajcie prospektu). Przyjmuje zgłoszenia i zawiadania, że Dyrekcja przeniosła się z Glasgowa. Listy i zgłoszenia należy kierować: Dyr. Follprecht, Street Farm, Saxmundham, Suffolk.

WYDAJE „FIGHTING POLAND” TRUST Adres Redakcji (Editorial Offices): 52, Halton House, 20-23 Holborn, London, E.C.1. Tel. CHAncery 7747. Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej — 13-ej. Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: (z przesyłką pocztową) w Wielkiej Brytanii kwartalnie 8 sh., w U.S.A. i Kanadzie miesięcznie 35 c., kwartalnie \$1.00 c. Należność prosimy wpłacać z góry przekazem pocztowym lub czekiem na „FIGHTING POLAND TRUST” pod adresem Administracji. Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — £1 10s., (\$5). Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia na pierwszej stronie w miarę wolnego miejsca o 100% drożej. Ogłoszenia drobne: jednokrotne 9d. za słowo, dwukrotne 1 sh. za słowo, trzykrotne 1 sh. 6d. za słowo. Poszukiwanie i zaoferowanie pracy: jednokrotne 6d., dwukrotne 9d., trzykrotne 1 sh. za słowo. Poszukiwania osób rodzin wojskowych bezpłatnie w miarę wolnego miejsca. Adres Administracji (Business Offices): 69, Earls Court Square, London, S.W.5. Tel.: FLAXman 8600.

ANGIELSKI OD ŚWIĘTA

Na święta Wielkiejocny Dońcu jedzie do swych angielskich przyjaciół w Southport, Southport — to miasto w południowej Anglii, w południowej Afryki. Wina i inne napoje alkoholowe stanowią jednak główną atrakcję świętecznego zaproszenia.

Dońcu jako Polak i żołnierz najbardziej ceni whisky — bo najmocniejsza. Angilcy piją ją zwykle rozcieńczoną: woda zwykła lub sodowa („whisky and soda”), ale Dońcu twierdzi, że to psucie trunku, na co pan dom z łagodnym uśmiechem mówi: „That's what you think”.

Do „krótkich drinków” (short drinks) należą też: port, sherry i gin. Port — to wino mocne i słodkie, od którego Dońcu ma ból głowy na drugi dzień, bo zamiast jednego kieliszka po obiedzie pije kilka, przepłatając innymi trunkami. Nazywa je „porto”, bo tak się nauczył we Francji i krzywił się przy siódmym kieliszku, pijąc jednym haustem mówi: „Mi no lajk sft drinks. (By mów: I don't like sweet drinks).

Szlachetne wino hiszpańskie Jerez (jeden kieliszek przed jedzeniem) nazywają w tym kraju — sherry, co Dońcu wymawia z francuski — che; w natłoczeniu angielskim (piosenkarze — piosenkarki) śpiewają: „Zie vous aime, ma sherry”. Wymawiają sherry jak „siery”, z akcentem na pierwszą sylabę.

Nie tylko Dońcu, ale wielu naszych rodaków w Wielkiej Brytanii zamiast „cherry brandy” na wisniówkę „Cherry — wiśnia. Cherry pipe — wisniowa fajka. Cherry blossom — kwiat wiśni. Samo brandy — to po prostu — koniak. Gin pije się zwykle z sokiem owocowym: gin and lemon (cytryna), gin and orange (pomarańcza), gin and lime (limonka) — tylko bardziej ostre). Słowo „gin” (wymawiaj: dżyn) nie rymuje ze słowem „spleen” (wymawiaj: spłiin), podobnie jak nie ma rymu w polsko-angielskim wierszu, który Dońcu napisał kiedyś w natłoczeniu angielskim.

Daj mi twych słodkich ust, Trust in me, darling, trust! bo trust wymawia się: trast. Znaczy: ufać, ale „brains trust” nie znaczy: ufaj mózgom, tylko jak gdyby: rada mózgow.

Wielki wódz i naukowiec, który do własnej jasnej piana — pale ale (wymawiaj: pejl eil) — jasne piwo. Piwo w ogóle — beer (wymawiaj: bi-er). Pite w Anglii przed jedzeniem, podczas jedzenia, po jedzeniu i bez jedzenia.

Co mówimy, wnosząc kieliszek w górę przed wypiciem (bez trącenia A.D.A.M. o twego). Najczęściej: „Cheerio!” (Dońcu wymawia: Czeryo!) „Cheerio!” — mówi się też na pożegnania.

Żartobliwe powiedzonka wśród przyjaciół: „Sit on your nose” (skóra z twego nosa). Odpowiedzi: „And off your eye” (z twego oka). „Mud in your eye” (błoto ci w oko). Odpowiedzi: „And in yours”.

My best Easter greetings (Wielkanocne życzenia) to you all!

DOM WYPOCZYNKOWY YMCA Dom Wypoczynkowy Polskiej YMCA został ostatnio przeniesiony do Blairhill House, w miejscowości Rumbung Bridge, koło Kinross. Adres: Blairhill House, Rumbung Bridge, near Kinross. Telefon: Muckhart 31.

Dom jest wyposażony w radio, gry świetlone, kino, bibliotekę, kort tenisowy, boisko siatkowe oraz autobus, który dowozi pensjonariuszy do pobliskiego miasteczka.

Dom może pomieścić 62 osoby. Pensjonariusze opłacają dziennie: strzelecy — 1 sh., st. strzelecy — 1/3, kaprale — 1/6, plutonowi — 2/7, sierżanci — 2/6, st. sierżanci — 3/7, chorążkowie — 4/7.

Każdy przyjeżdżający musi posiadać kartę zapoznajenia. Żołnierze bez kart zapoznajenia dopłacają 3 sh. 4d. dziennie.

LOS CZŁOWIEKA zależy od ośmiu gruczołów (ODMŁODZENIE GRUCZOŁÓW DOSTĘPNE JEST DLA KAŻDEGO)

WIEDZA WSPÓŁCZESNA zaznajomiła nas z istotą życia — z Gruczołami. Odmiadanie gruczołów otwiera nowe horyzonty we wszelkiej dziedzinie życia. Faktem jest, że cechy zarówno umysłowe jak i fizyczne, wzrost, waga, usposobienie, zależne są od gruczołów wewnętrznych wydziela. Funkcje gruczołów są od siebie niezależne, a razem wzięte tworzą cały system. Wydzieliny gruczołowe docierają przez system krwionośny do ośrodków energii umysłowej, fizycznej i pleiowej, rządzą ich przejawami.

WIEK CZŁOWIEKA jest „wiekiem jego gruczołów”. Żywność i samopoczucie zależą od jakości i zrównoważonego przepływu tych wydzielin. Tylko wtedy osiągamy pełnię sił, gdy gruczoły funkcjonują prawidłowo. Słabość jest wynikiem wadliwej równowagi lub niewystarczającej ilości wydzielin, to jednak mogą być uleczone przez Hormonoterapię.

PRZEDWCZESNE STARZENIE SIĘ, utrata energii i żywotności, osłabienie, zmęczenie, bezsenność, brak apetytu, lóle i ożłone nie-uzdania, osłabienie wzroku, wypadanie włosów, nerwowość, neurastenia, wyczerpanie umysłowe, nerwica żołądka, częstolowy lub całkowity zanik sił męskich — wszystkie te symptomy dowodzą, że organizm przestał sprawnie pracować na skutek: raku równowagi lub nie-sterdyzacji ilości wydzielin, co możemy i yę łatwo usunąć za pomocą Hormonoterapii.

HORMONOTERAPIA, czyli leczenie gruczołowe, jest wiedzą, polegającą na odmiadaniu gruczołów. Działanie jej polega na wznowieniu sił żywotnych nie drogą sztucznej podniejty lecz przez docieranie do źródeł niedomagań fizycznych, umysłowych, nerwowych i pleiowych. Hormonoterapia przywraca siłę utraconych na skutek chorób, wieku lub nawet chronicznego osłabienia.

DLA KOBIET stosowanie Hormonoterapii okazało się zbawienne w leczeniu wiatu zaburzeń organicznych, towarzyszących wiekowi przejściowemu.

JAK ZACZĄĆ ŻYCIE NA NOWO. British Glandular Products, Ltd. przynosi nam i długoletnim doświadczeniem, w dziedzinie poznania któregośkolwiek z powyżej opisanych niedomagań, a szczególnie w wypadkach, gdy próby innych metod zawiodły, prosimy zwrócić się do nas. Wiemy, że możemy pomóc w odzyskaniu równowagi umysłowej, fizycznej i odzyskaniu męskości. Wiemy, gdyż pomogliśmy już wielu tysiącom. Prosimy wy. Inie poniższy kupon i załączając znaczek poczt. za 3d, a przesyłamy naszą broszurę p.t. „ISTOTA ŻYCIA”.

BRITYJSKIE WYTWORY GRUCZOŁOWE Do British Glandular Products, Ltd. (P.W.P. 801), 35, Albemarle St., London, W.1. Proszę o nadesłanie mi, bez zobowiązania: broszurę p.t. „ISTOTA ŻYCIA” (znaczek poczt. za 3d. załączam) lub 100 TESTRONES Brand Tablets dla mężczyzn, 100 OVERONES Brand Tablets dla kobiet, załączam 10/- (niepotrzebne skreślić) NAZWISKO ADRES